



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

Zjazd Towarzystwa Pedagogicznego

w Stanisławowie.

Żył w Warszawie mąż, wielkiej powagi pedagogicznej zażywający, który przecież po dzień odczytu swego o nauczaniu początkowym—a było to mniej więcej równocześnie ze „świętą” (!) wojną francusko-pruską—nie o nauczaniu poglądowym nie wiedział; objaśniła mu rzecz dopiero krytyka odczytu.

I oto od chwili, w której poważny ów mąż-pedagog usłyszał o nauczaniu poglądowym, a zwłaszcza od chwili, w której wyraził te do swojej frazeologii wcielił, przestały one być neologizmami, silnie przez professorów „stylistyki” prześladowanymi. Warszawa szybko przyswoiła je sobie, a nawet „niejaki” Jeske (uprzedzam, żeby nie mówić „Jeski”, jak jedna znajoma nam nauczycielka), ułożywszy początkowy kurs nauk metodą poglądową, ułatwił zrozumienie rzeczy samej tej nielicznej garstce ludzi, która nie poprzestaje na wyrazach. Nie dość na tem: wyraz (nie mówię: rzecz) wszedł w modę, jak weszły były w modę kroniki Prusa, a obecnie, jak wchodzi w modę kroniki Humanusa, a doszedł do swego apogeum w czasie wystawy higienicznej, na której wszystko było poglądowo przedstawione: tablice żywnościowe i substancje składowe ciała człowieka i kanały Warszawy i wiele innych rzeczy.

Oto są powody, dla których, podlegając panującej obecnie modzie, nie mogę rozpocząć sprawozdania, dopóki nie przedstawię poglądowo dwóch rzeczy, które mi w poglądowy sposób dokuczyły. Łatwo zrozumieć, że idzie tu o upał i chłód.

Wyobraźmy sobie przy trzydziestu paru stopniach Réaumura w dniu 18 lub 19 Lipca zatłoczoną salę teatralną w Stanisławowie 200 uczestnikami zjazdu pedagogicznego i sporym kontyngensem miejscowego żywiołu; wyobraźmy sobie sprawozdawców, dotyla tą atmosferą rozgrzanych, że ich nawet balie z lodem, obok ustawione, ostudzić nie mogą—tak właśnie przedstawia się poglądowo upał.

A teraz oto wasz powolny sprawozdawca, używając błogości letniego mieszkania, ubrany malowniczo w cały zasób podróźnej garderoby, osłonięty wysłużonym już w turystowskich wycieczkach płedem, słucha w altance brzoźowej ponurych tonów wichru i gryzie pióro, dotyla zziębnięty, że go nawet wspomnienie „uroczej” panny Blautówny, deklamującej „prześlicznie” na uczcie pożegnalnej wiersz Kołakowskiego, ani finałowy toast ks. Dąbrowskiego, życzący wszystkim pannom mężów, a kawalerom żon, rozgrzać nie może. Tak właśnie przedstawia się poglądowo chłód.

Zarówno upał, jak i chłód na bieg myśli piszącego wpływają. Najnowsze zresztą badania wykazały, że mądre utwory literackie tylko w klimacie umiarkowanym zrodzić się mogą. Pobłażania więc proszę ze względu na wybryki samych żywiołów.

Głośne miasto Stanisławów nie należy do starożytnych; stworzył je w połowie XVII wieku Stanisław Rewera Potocki, Wojewoda Kijowski; wkrótce stało się ono pierwszorzędnym miastem Rusi, fortecą i ważnym punktem handlu, gromadzącym w murach swoich obok Polaków i Rusinów, znaczną liczbę Ormian i Wołochów. Walny zjazd Towarzystwa Pedagogicznego odbywa się już po raz wtóry w tem mieście. Przed 12 laty (1875) burmistrz Dr. Ignacy Kamiński pierwsze ostentacyjne przyjęcie przy huku moździerzy, przy bramach tryumfalnych, przy świetle lampionów i symbolicznej mowie transparentów, pe-

dagogom tu urządził. I gdy dziś tensam p. Kamiński, w pełny strój polski przybrany, przyjmuje muzyką pociąg, wiozący Zarząd Towarzystwa ze Lwowa, gdy gromadzi gości w centralnej sali dworca kolejowego, ażeby im w przemówieniu powitalnem powiedzieć, że tylko nauczyciele mogą do nowego życia kraj powołać, gdy zabiega, aby wszystkich, jaknajwygodniej rozmieścić, jaknajlepiej nakarmić, co mu wszystko przy pomocy nader czynnego komitetu miejscowego, jak z płatka idzie: nad głową jego ważą się dwa sady. Człowiek ten, mówią jedni, nawiązał węzły między nauczycielstwem a publicznością, która od-tąd faktycznie uznawała nauczyciela za wpływowego działacza na rozwój życia społecznego i uznanie mu publiczne corocznie w czasie zjazdów składa; człowiek ten pokazał, jak naród nauczycieli uważać i do obowiązków ich stanu zagrzewać powinien. Człowiek ten, wołają inni, zwichnął poważny kierunek Towarzystwa, na którego zjazdach rozważały się sprawy w przyszłość brzemienne, które-to zjazdy od Stanisławowskiego począwszy, przybrały charakter ostentacyjno-turystowski, zamieniły się w szopki i bankiety, na których bawią się przewodnicy oświaty, jak dzieci, wygłaszając przytem napuszone, konwencyonalne i jak stara moneta wytarte, a często fałszywe frazesy. Ostatni ci panowie widocznie sądzą, że praca towarzystwa ogranicza się do owych trzech (a jak teraz dwóch) dni zjazdu dorocznego; a skoro o stanie towarzystwa sędzi się z ciągłej działalności zarządu głównego, tudzież 2,000 członków (pracujących w 43 oddziałach i 46 kółkach), to i zdania wyższego zbijać nawet nie widzimy potrzeby.

W Poniedziałek 18 Lipca zrana po nabożeństwie w katedrze gr. kat. i w farze łacińskiej rozpoczęło się pierwsze posiedzenie w sali teatru, gustownie w chorągwie i choinki przyozdobionej

w przytomności kilku osób wybitniejszych, jak starosta Jaegermana, posła na sejm krajowy dra Mroczkowskiego, ks. kanonika Krasowskiego i innych. Serdecznie powitał zgromadzonych imieniem miasta burmistrz dr. Kamiński; odpowiedział mu prezes Sawczyński, kreśląc w barwnym przemówieniu zadanie nauczycieli ludowych. „Uszlachetniać umysły i serca milionów ludzi—mówił—to obowiązek nauczycieli ludowych. Przez długi czas byliśmy usunięci od tej pracy, a nawet nie wolno nam było pracować nad odrodzeniem materyalnym, i dopiero w nowszych czasach krajowi naszemu przyszło formalnie dobijać się o to równouprawnienie wobec warunków bardzo nierównych. Skorośmy już coś zdobyli, bądźmy wytrwali, bo tylko wytrwałość stanowi o dobrem spełnieniu obowiązków.” W końcu wezwał prezes zgromadzenie, aby oddało cześć dwóm zmarłym członkom honorowym: ks. Ostrowskiemu i Kraszewskiemu. Powołał następnie sekretarzy i w krótkim czasie załatwiono kilka numerów porządku dziennego, mających formalne lub miejscowe znaczenie. Miejscowy również charakter miała ważna w zasadzie sprawa przeznaczenia funduszu z kar za nieposyłanie dzieci do szkoły powstałego, i dlatego pomijamy ją tutaj. Ogólniejszego jest znaczenia kwestya burs dla synów nauczycielskich, nad którą szeroko na pierwszym posiedzeniu rozprawiano, i dlatego słów parę o niej powiemy.

Sprawa burs dla synów nauczycielskich niejednokrotnie już w Towarzystwie Pedagogicznem była poruszana; od czasu jak pisujemy doroczne sprawozdania z Walnych Zjazdów tegoż Towarzystwa, a (piszemy je obecnie po raz siódmy podobno) niejednokrotnie też ten przedmiot poruszaliśmy. Nie nowina, że bursa dla młodzieży—chwała Wieków Średnich—owa kolebka wielu wielkich ludzi—już się przeżyła; zastępuje ją dziś stypendyum, zasiłek dany rodzicom; zasiłki podobne są tem pożądanemu teraz właśnie, gdy podnosi się czesne, gdy zacieśniają się podwoje gimnazyów dla dzieci niższych warstw społecznych. Bursy wszelako istnieją tu i owdzie, zwłaszcza w Galicyi w liczbie kilkunastu, głównie pod opieką duchowieństwa.

Nic sprawiedliwszego na świecie, jak pragnienie nauczyciela, aby dzieci jego były wykształcone. Gdy przy abiekturalnej dynamice społecznej rozmaici agenci, komissanci, kupcy, przemysłowcy, „wyciskacze buraków” i „poruszacze krosien” robią fortuny, i to niekiedy kolossalne fortuny: niechby biedny nauczyciel przy najnieprodukcyniejszym fachu swoim mógł mieć tę przynajmniej pociechę, że społeczeństwo czy państwo dzieciom jego drogę dalszego kształcenia ułatwi. Nic jednak prawie dotąd na tem polu nie zrobiono, a nauczyciele galicyjscy sami oddawna fundusze na kształcenie gimnazjalne synów swoich zbierają. O zakładaniu burs wyłącznie dla dzieci nauczycielskich, tudzież o ułatwieniu im wstępu do burs już istniejących, szeroko i gorąco rozprawiano na zaprzęszlorocznym zjeździe w Przemyśle, gdzie też uchwalono odwołać się do władz publicznych w tym celu. Rezultaty okazały się małe: i oto na ostatnim zjeździe sprawa ta w nowe stadyum wstąpiła. Zwrócono się do niezawodnego środka, a tym jest i będzie zawsze samopomoc.

P. Skrzyński zdał sprawę przed zgromadzeniem z funduszu burs (wynosi on około 3,000 złr.) jak niemniej odczytał „Regulamin dla burs Towarzystwa Pedagogicznego,” ułożony przez Zarząd tegoż towarzystwa.

Regulamin powołuje wszystkich nauczycieli do składek rocznych po guldenie (co wyniosłoby 2,000 guld. corocznie) i do wyznaczenia osobnej komisyi, która by się energicznie zajął posunięciem sprawy naprzód. Tym sposobem powstało jakby nowe „towarzystwo burs.” Zgromadzenie prztem uchwaliło, aby wszyscy nauczyciele do tego go towarzystwa się zapisywali.

Mocą regulaminu, który w całości został zatwierdzony, należy się przedewszystkiem pomoc sierotom, następnie dzieciom najbiedniejszych nauczycieli, później dzieciom członków zasłużonych. Zarząd główny uchwalił, aby już w poczynającym się roku szkolnym 1887/8 opłacić 8

miejsce w bursach już istniejących i konkurs odpowiedni w „Szkołach” ogłosić.

Były dyskusye nad sposobami urzeczywistnienia w praktyce owej pomocy dla synów nauczycielskich: jedni projektowali założenie centralnej bursy we Lwowie, i inni—drobniejszych burs po miastach, inni wreszcie oświadczyli się za udzielaniem stypendyów i umieszczaniem młodzieży w bursach już istniejących. Słusznie bardzo jeden z mówców zauważył, że niema się o co spierać, bo jeszcze fundusze są zbyt małe gdy te się powiększą, wtedy zgromadzenie uchwali najodpowiedniejszą formę ich spożytkowania. W każdym razie sprawa—jak widzimy—na dobrej jest drodze; życzymy z całej duszy, aby każdy nauczyciel jaknajwięcej ułatwień i pomocy znajdował w kształceniu własnych dzieci. Słusznie mu się to należy.

(Dokończenie nastąpi).

PIOSNKI GÓRSKIE.

E C H O.

W górach mieszka wróżka, co chwyta za słowa.
Z podróżnymi zawsze rozmawiać gotowa.

W kamiennym pałacu szczerze się zamyka,
I głosem każdego wabi podróżnika.

Czasem rozweseli, a czasem przeraża,
I sto razy wróżbę ze śmiechem powtarza.

* * *

Powiedz, i mnie, wróżko, co mnie w życiu czeka?
Poznam kiedy szczęście?

— Zdaleka — zdaleka.

Jaka nad mem życiem zadrży gwiazda złota?
I jak jej na imię?

— Tęsknota — tęsknota.

Kiedy się zachwycę piękna objawieniem,
Czem stanie się dla mnie?

— Złudzeniem — złudzeniem.

A kto do spragnionych ust moich mi poda
Czarę czystej prawdy?

— Przyroda — przyroda.

Powiedz czy ja doznam chwili uniesienia?
I z kąd go zaczerpnę?

— Z natchnienia — z natchnienia.

A gdy się me serce pragnieniem rozpali,
Gdzie ja wtedy pójdę?

— Dalej — dalej — dalej.

A gdy się zatrzymam nad brzegiem wieczności,
Czyja moc mnie zbawi?

— Miłości — miłości.

A po życiu, które tak prędko się prześni,
Co też pozostanie?

— Pieśni — pieśni — pieśni.

Szczęсна

JULJA PETÖFI.

Kobiety kochane przez wielkich ludzi wywierają na wyobraźnię naszą urok potężny. Miłość bohatera, miłość poety opromienia: blask od ich sławy, od ich wielkości odbity pada na drogę im osoby i „Laura” Petrarki, „Maryla” Mickiewicza, to dla myśli naszej jakieś istoty idealne, przez piękność, czystość, duchowość swoją przebóstwione — postawione tak wysoko, jak poetyczne aspiracje tych, co je kochali. W szeregu poetów, drogich narodom, z których Iona wyszli, niepoślednie miejsce zajmuje Alexander czyli Szandor Petöfi, wcielenie gorące uczucia Węgrów w ich miłość dla ziemi ojczystej. Zginął ze świata zbyt młodo, aby mógł stworzyć jakieś wielkie arcydzieło, nieśmiertelnie w literaturze żyjące, ale to już jemu samemu nieśmiertelność zapewnia, że dwudziestokilkuletni pieśnią swą wstrząsnął wszystkie, szlachetnie bijące serca węgierskie — że się stał Tyrteuszem swego narodu.

Nie był mu przecież danym los Tyrteusza. Nie tylko wieńca laurów na skronie, ale nawet grobu w ziemi ojczystej nie dostał, i okrutną jest tajemnica z grobem tym złączona. Z ręki wroga nie poległ: nie przeszył go na polu bitwy bagniet, nie zabiła kula, skrwawionego trupa nie podjęto z pobojowiska, tylko z placu boju gdzieś zniknął, przepadł—bez wieści nazawsze zginął...

Szukano go, wzywano, czekano lata długie. Są tacy, którzy wierzą dotąd, że do niewoli wzięty, żyje jeszcze gdzieś daleko, zabłąkany w pustyniach Północy, i strach pomyśleć, co przy takim stanie niepewności muszą przecierpieć serca tych, którzy kochają tak nieszczęśliwie zatraconego!

A Petöfi zostawił za sobą jakoby dwa serca takie. Jedno biło w piersi przyjaciela, drugie w piersi żony-kochanki, ledwo, że dwa lata zaślubionej, z siedmiomiesięcznym synkiem u Iona. Przyjaciel (Maurycy Jokay) nie zawiódł, nie zdradził, bo nie zapomniał nigdy, ale żona zdradziła, żona zapomniała! Nie zdarła sukien żałoby, lecz je zdjęła tak prędko, jak tylko upłynął czas, dla przystojności wdowiego żalu przez obyczaj naznaczony, i skoro tylko zapadł termin prawny, który nieobecne nieboszczykiem nazwać pozwala,—wdową być przestała. Jeszcze wszyscy wierzyli, że żyje w niewolę uprowadzony, jeszcze go naród u zwyciężkiej potęgi reklamował, gdy kobieta „fałszywa jak fala” stanęła z innym u ołtarza.

Nie odpowiedział na trzykrotnie wzywający go list gończy; nie stawiał się przed urzędem, nie dał o sobie wiedzieć, w miejscu prawnego zamieszkania: więc wdowa, która te wszystkie sądowe formalności przeprowadziła, otarła łzy i wzięła drugiego męża.

Smutniejszej historii świat nie słyszał, od Hamletowych czasów ludzie nie widzieli boleśniejszego dramatu! Ale dzieje Hamletowej matki są może bajką, a tu już jest to wszystko prawdą. W r. 1846 we Wrześniu Szandor Petöfi, mający wtedy lat dwadzieścia trzy, przecież już blaskiem sławy opromieniony, już znany i kochany przez naród cały, którego najdroższe uczucia wrzesał, poznał Julię Szendrey, ośmnastoletnią pannę, piękną „jak jutrenka.” Włosy miała złoto-rude, pod brwią i rzęsą ciemną, oczy zielone „jak fałszywa fala.” Szczupła, smukła, niewielkiego wzrostu, zdawała się na to stworzoną, aby ją na rękach nosić i pieścić; przecież ludzie fizjognomiści uważali, że zamknięcie jej słicznych, maleńkich ust koralowych, z wargą górną, nieco podniesioną,—było twarde i ostre. Spotkanie nastąpiło na balu w Nagykaroly, stolicy Szatmarskiego Komitatu. Petöfi miał w tej okolicy znajomego, notariusza Laukę, także literata i, zdaje się, kolegę szkolnego, a w Węgrzech nikt podówczas w domu się nie zamykał. Ludzie pragnęli się widywać, żyli szumnie, gwarno, jeździli też, wędrowali z miejsca na miejsce, i Petöfi przybywał

aby poznać te strony, rzucić ludziom kilka namiętych dźwięków gorącej swej pieśni i w oczy spojrzeć, ręce uściśnąć — coś z siebie im dać, coś od nich wziąć, nie myśląc, że się tu spotka z przeznaczeniem swoim!

Sliczne było, przyszło do niego przy dźwiękach muzyki, przy blaskach światła jarzących w bladoniebieskiej sukni gazowej, w niezapominajkach we włosach, i wzięło go odrazu jak swego!...

Notaryusz Lauka Gustaw mieszkał w Erdöd, wielkiej włości hr. Karoly'ego, którego rządcą i plenipotentem był Ignacy Szendrey, ojciec pięknej panny: więc też zaraz Petöfiego jej przedstawił. Już on ją poprzednio widział; na kilka godzin przed balem zobaczył przed bramą zajazdu pod drzewami, o których już jako jej pisał: „Ze słodkimi myśli wzruszeniem zwracam wzrok mej pamięci ku tym drzewom i błogosławię je — błogosławię tego, co je sadił!“ W sali balowej ujrzała otaczał tłum tancerzy, najpierwsza młodzież komitatu, jakgdyby była córką hrabiego, a nie jego officialisty. Mimo silnego prądu idei demokratycznej, która z Francji zawiązała, przenikała wtedy Węgry tak, jak i świat cały, arystokracja węgierska pozostała w głębi duszy najwyświeższą magnateryą na świecie, ale powabność Julii Szendrey była tak wielką, posiadała ją w każdym ruchu, w każdym słowie tak pociągająco zwyczajną, że najdumniejsi panice składali jej hołdy, które ona przyjmowała chłodno, nawet wyniosłe, może podwyższając jeszcze w ten sposób siłę wywieranego czaru.

Jokay, który przyjacielem jej nigdy nie był, który w zakroju jej doczytał się zaraz po poznaniu z nią, zimna i twardości serca, który o jej oczach mówił, że każde zosobna wzięte, było pięknym, ale gdy razem patrzył przez brak harmonii piękność tę utracając i mają w spojrzeniu jakiś wyraz mętny i niejasny — Jokay przypisywał tę hardą obojętność na oddawane sobie hołdy pysze, ze zrezygnowaną zalotnością złączonej. W każdym razie piękna panna przyjęła poetę ze szczególnym wyróżnieniem, okazując, że ceni go wyżej nad wszystkich, którzy w koło niej tłum tworzyli, a trzeba dodać, że Petöfi nie był bynajmniej pięknym, pokaznym młodzieńcem, szczególnie, że szczupły i niski, wyglądał bardzo mizernie, i w sali balowej nie mógł przedstawiać się korzystnie. Ale Julia Szendrey była inteligentną, poezye Petöfiego znała mówili ze sobą niewiele, lecz dość tego było, aby pierwsze wrażenie utrwaliło się i wzmogło. On pokochał gorąco i miętnie!

Choć o miłości śpiewał dużo i tak cudnie, że miłosne jego piosenki zachwycały serca; choć obok ideału szczęścia i wielkości Węgier, to było zaraz drugą struną na harfie jego poezji, — nie kochał dotąd nigdy. Bywały lekkie upodobania, bywał hołd piękności i wdziękowi niewieścim składany, ale nie było rzeczywistej miłości — wielkiego potężnego uczucia, które o doli i niedoli ludzkiej stanowi. W piosenkach jego brzmiała też głównie tęsknota za miłością, smutność samotnego serca, które podziału uczuć pragnie; lecz teraz drgnęło ono, głęboko wzruszone. Wkrótce po balu Petöfi do Erdöd przyjechał, z domu przyjaciela rodzicom Julii wizytę oddał, przyjęty bardzo uprzejmie przez dobrych ludzi, ale względem pięknej panny zachowywał się bardzo lekko i nieśmiało. Jest w poezjach jego z tych czasów ślad, że nie on zdobywał, lecz raczej był zdobywanym, a gdy wieczorem dnia tego z Erdöd do Pesztu napowrót wyjechał, już węzeł, niemający się zerwać, był między nimi zadzierzgnięty.

Julia dała mu poznać, że nie był dla niej tem, co inni. Zapragnęła wymiany myśli; przyrzeczone sobie pisywanie i nastąpiła też korespondencja coraz gorętsza, coraz więcej osobista, a ludzie spostrzegli, że piękna dziewczyna uległa wielkiej zmianie. Stała się wesołą jak nigdy, zniknęły smutne zadumy i gorzkie na życie poglądy. Piękniała jeszcze, łagodniała.

Czy pokochała i ona?

Historyk tych stosunków, Wojciech Sturm, który od przyjaciół Petöfiego szczegóły do tych nieśczęsnych dziejów zbierał, odpowiada sobie po tem pytaniu, że kochała może, ale nie Szandora Petöfi, poetę, lecz sławnego człowieka, człowieka, któryby ją wywiódł z ciasnego koła dotychczasowego,

podrzednego bytu, a z kąd nie widziała przed sobą żadnej drogi wyjścia, wiodącej do celu, jakiego pożądała jej ambitna natura.

Wraz z zarysem kobiety, wykonanym wkrótce po zamęczeniu, Sturm zestawiał zarys jej rodzinnego domu. Był to stary średniowieczny zamek, leżący wśród ogromnego, wpół dziczającego ogrodu i zwierzyńca, a tam, prócz starych już rodziców, jedynym towarzyszem dumnej dziewczyny była młodsza siostra, piękna też bardzo, piękniejsza nawet od niej, lecz cichszej, słodszej natury, mniej wyniosłych pragnień, a z czasem też żona literata, powieściopisarza bardzo szlachetnego natchnienia i takiego jak Petöfi patriotycznego uczucia, Pawła Gyulay'a. Umysł starszej siostry niespokojnie znosił cichą jednostajność, która je otaczała; liczyła ona niecierpliwie upływające lata swej wiosny i kiedy rozkochany poeta przybył ponownie do Erdöd w Maju 1847 r., i zamieszkałszy u przyjaciela, mógł Julią często i swobodnie widywać, nastąpiło — co nastąpić musiało. W długich spacerach wśród starego parku, nad brzegami rozlanego tam jeziora, dusza poety exaltowała się coraz silniej, miłość stawiała się coraz płonniejszą, a to tem więcej, że piękna panna uczuć swoich nie kryła.

Przeciwnie, okazywała przywiązania namiętne, żądała od rozkochanego młodzieńca, aby śmiało, odważnie, o pozyskanie jej ręki do rodziców się odezwał.

Gdy to uczynił, gdy ojcu Julii stan serca swego odkrył i wyznał, że wzajemność ukochanej posiada, najpierw spotkał się ze strony starego szlachcica z ogromnem zadziwieniem, potem usłyszał surowo uczynione zapytanie: jak żonę i dom, jak przyszłą rodzinę utrzyma? On zmieszany, przygnieciony boleśnie wyrzutami, które go spotkały i których słuszość uznawał w duszy, byłby zadosyć uczynił żądaniu ojca Julii nie widywania jej więcej, gdyby ona przystać na to chciała. Plakała, łamała ręce, mówiła o śmierci i poeta zesłabł, słowo dane złamał! Spotkano się jeszcze dwa razy w ogrodzie zamkowym, przecież nie pożegnano nazawsze. On przysięgła, że nigdy miłości dla niego w sercu swoim nie stłumi, nigdy się miłości jego nie wyrzeczy, dodając, dodając, że z wola, czy bez woli rodziców musi do niego należeć. Petöfi, już się z rodzicami pany nie widząc, z Erdöd wyjechał, ale odjeżdżającego porankiem wczesnym zegnała z wieży zamkowej postać dziewczęca, białą chustką ku niemu powiewając.

Było to w końcu Czerwca. Gdy odjeżdżał, gdy „szczęście swoje jak cień nikły za sobą zostawiał, na plecach dojrzywały kłosa pszenne.“ Przecież „gdy jagoda winna purpurą się malowała,“ wracał, „pędząc jak szalony: upojony szczęściem, miotany rozpazą“ bo stary ojciec list błagający do niego napisał, aby przybywał jego nieszczęsne dziecko od śmierci ratować...

Julia nie chciała jeść, pić, spać; — Julia chciała umrzeć i rodzice, już teraz w oporze swoim złamani, oddawali mu ją — oddawali przyszłości niepewnej!

Więc natychmiast dnia 6 Września r. 1847, w rok po poznaniu się ze sobą w Nagykaroly, zostali, mężem i żoną. Ślub odbył się cicho w kaplicy zamkowej, a Petöfi pisał do Pesztu przyjaciół, że go brał w czarnej morowej attyli, ze srebrnymi guzikami, a Julia, „Juliska“ jego — jak ją ze słowacka nazywał, — miała białą atłasową suknią przejrystą zasłonę, upiętą wiankiem mirtowym i białymi miesięcznymi różami.

Ach! nietrwałe to kwiaty, te róże miesięczne; nietrwałe, sztucznie przymowane! Ale poeta miał serce pełne szczęścia i miłości, więc w szczęście, w miłość wierzył. Zauważył przecież, że Julia była bardzo blada i drżała, do ołtarza przystępując. I on też zbliżył od burzących mu się w piersiach uczuć; oboje byli silnie wzruszeni — on miał teraz lat 24, ona 19.

Miodowy miesiąc upłynął im w „rajskiej miejscowości“ w Kolto w Siedmiogrodzie, dokąd serdeczny przyjaciel Petöfiego, hrabia Szandor Tekeli, zaprosił nowożeńców. W listach Petöfiego do poety Kerenyi'ego, w jego pamiętnikach, zawsze Kolto nazywane jest „rajem;“ przecież tam to napisał młody małżonek wiersz dziwnie smutny

i niestety! wyroczny... Tytuł jego jest *Koniec lata*. Miłość natury była u Petöfiego wielką, wpatrywanie się w jej obrazy, łączenie ich ze stanem swoich uczuć, widnieje we wszystkich jego poezjach, jest tłem, na którym malowała swoje rozpacze. Widzi co jest na polach i wśród winnic, gdy ukochaną kobietę żegna i odjeżdża od niej, widzi to, gdy do niej powraca i teraz, gdy już ją ma przy bijącym swem sercu, w chwilach silniejszych serca tego wzruszeń obraca wzrok na pola i lasy i z tęsknotą Słowianina, którą ma w krwi, rzuca na wiatr śpiewne swe żale, przeżucia swe żalobne: „Jeszcze w dolinach kwitną kwiaty, jeszcze zielony bluszcz okno oplata, ale na górach już leżą śniegi, tak i jego serce, jego serce młode, jeszcze pała letnich dni żarami, jeszcze życie stroi mu się w kwiaty, nieprzekwitłe wiosenne; ale czy zima już się nie zbliża, czy już nie nadciąga?“...

Kwiaty zwiędną szronem zważone, życie ogłodzi się prędko ze szczęścia i rozkoszy i w sercu jego robak niepokoju boleśnie wic mu się zaczyna: więc woła ukochanej, każe jej się odwrócić u łona i patrzy jej w oczy. Ach! dziś opiera ona swą główkę na jego piersi; lecz może jutro piersi tę czarna ziemia przysypie i grób zamknie się nad nią?“...

A wtedy co, co będzie — gdzie się podzieje miłość i oblubienica młoda? — „O powiedz mi, czy to wtedy rozłączającemu się z tobą małżonkowi oczy zamkniesz? Czy dla miłości innego prędko jego nazwisko, miano żony jego porzucisz?“

Petöfi, z rodu, nie Węgier, lecz Słowak, zachował w poezjach swoich pewne cechy rodzime i pieśni jego mają zawodzącą nutę słowacką, nawet słowackich pieśniarzy rytm i przeciągłe, tęskne powtarzanie, które zupełnie naszą ludową pieśń przypomina. Ten żalobny tren poślubny wszystkie te cechy posiada: zawodzi — miłośnie, żalobnie zawodzi, lecz jest w nim dziwna, jak na chwilę poślubną, gorzka i niepewność, smutna w przyszłość niewiara: — „Jeżeli ty zasłonę wdo-wią zrzucisz, to zawiesz ją nade mną, zawiesz ją na mogile mojej, jak chorągiew żaloby, a ja o północy z grobu się podniosę, i zabiorę ją sobie, do ciemnego dołu ją wezmę, aby nią ocierać łzy, na ciebie wylewane, żeś mnie kochającego, tak prędko zapomniała — mnie męża twojego!“

„Wezmę ją, aby przewiązać sobie serce zranione, które cię nawet wtedy kochać będzie, które cię nigdy kochać nie przestanie...“

Dziwna, przenikająca rzecz takie jasnowidzenie przyszłości! O podobieniu wiersza, przeistoczeniu go późniejszym, mowy być nie może: a przecież jakie to zadziwiające rojenia grobowe przy pierwszym zaraz dotknięciu ustami owej czary miłości, dla której młody poeta tak ryzykownie przyszłość swoją ciężkiem brzemieniem obowiązku obarczył, los swój nim skrupował! Przychodzi też na myśl przypuszczenie: czy raczej Petöfi nie odkrył już wtedy w ukochanej kobiecie egoizmu, czy już wtedy egoizm ten tak się przed nim nie zdradzał, że miłość zatarła się niewiara, serce otrzymało najboleśniejsze zmił ukaszenie?

Przyjdzie przecież czas, w którym pomszczonym zostanie, w którym i ona narzekać zacznie. Gdy się pamięcią w dniu młodości swej zwróci, zawoła boleśnie: „W szczęśliwych czasach młodości i miłości mojej, droga życia była zasłana różami! Cierniowa ścieżka przyszła później: i sama, sama ją sobie obrałam!“

Po przybyciu do Pesztu nowożeńcy zamieszkali razem z inną, niedawno też połączoną parą: z Jokayem i jego piękną, szlachetną, utalentowaną małżonką. Jokay był wtedy ładnym chłopcem co się zowie: biały, różowy jak dziewczyna, z płowym wąsikiem, powęgiersku w górę zakręconym; szkolny kolega Petöfiego, był mniej więcej w tym samym, co on, wieku, i razem kadryl ten, jak w Peszcie nazywano dwie młode pary, nie liczył całych lat dziewięćdziesięciu. Czemu byli obaj mężowie? wiemy. Wiemy też jakie bohater-skie, wierne, poświęcone serce biło w piersi Róży Jokayowej i było tu dość poezji, zapалу, szlachetnego uczucia, tylko — jak Petöfi wesoło pisał do Kerenyi'ego — mało kwadratowych łokci przestrzemi.

FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

Pan Sylweryusz był niezmiernie zadowolony z rozmowy z papą Fiszbaumem; dowiedział się z niej wielu rzeczy, które jego ojowska przenikliwość zręcznie z sobą zestawiała. Poznał przedewszystkiem wyraźną intencją sprowadzenia Romualda do domu bankiera; chciano go widocznie utrzymać w stosunku większej zażyłości, przyciągnąć znowu, zbliżyć bardziej. To właśnie podobało się szczególnie staremu Lackiemu i widokom jego przedziwnie dogadzało.

Z wyszukaną grzecznością, ale z pewną arystokratyczną dumą traktował swojego gościa, jak dobry gracz partnera, który nie może się połapać, co takiego przeciwnik jego ma w kartach.

Od czasu do czasu zaimponował mu jakimś nazwiskiem rodowem, jakąś kolligacją wysoką, wtrącił coś o majątku swym na Wołyniu, który wprawdzie jest zagrożonym, ale w którym znaleźćby można prawdziwe skarby; przytem wszystkim zaś strzegł się „błagować” zanadto. Wiedział, że pod względem materyalnym, sytuacji nie przedstawia korzystniejszej i nie złudzi bankiera; uderzył przeto rozmyślnie w melancholiczny ton rezygnacji człowieka, który widzi jasno, co go czeka, ale poddaje się temu, jak bohatera ofiara. Ogólny stan kraju, dziejowa fatalność, pokuta za grzechy zadawnione, nowe prądy, regulujące społeczne stosunki, konieczność równowagi starych warstw z nowymi, praktyczniejsze hasła chwili, etc. etc., dostarczały frazesom Lackiego sporo materyału; umiał być w swoim rodzaju wymowny, kiedy tego była potrzeba.

Fiszbaum ani się spostrzegł, jak dwie godziny w ten sposób przegadał z ojcem Romualda; lubił rozprawiać niekiedy w kwestjach ogólnych, bo mu się zdawało, że naprawdę głębiej myśli i kiedy był słuchany cierpliwie a pobłażliwie, jak teraz z wyrachowania przez pana Sylweryusza, zapuszczał się na bardzo ryzykowne dla siebie pole rozmaitych teoryj społeczno-politycznych.

Lacki zręcznie wywabiał go umyślnie w tym kierunku i pozwalał mu używać języka do woli, a ilekroć bankier sam się splątał w swoich wywodach i utykając, ratował się najwygodniejszym w takich razach, „rozumiesz pan?” — odpowiadał mu natychmiast: „doskonale” i dosnuwał urwany wątek rozumowań Fiszbauma w jego duchu, co prawdziwie zachwycało bankiera.

Wymiana zdań w ciągu owych dwóch godzin zbliżyła więcej obu ojców, aniżeli w innych warunkach lata znajomości. I Fiszbaum wyszedł z tej wizyty nadspodziewanie zadowolony, zapomniał prawie, że Lacy to „hołusze” i bankruci, że przed niedawnem jeszcze sprzeciwiał się tak uparcie samej myśli połączenia Ludwika z Romualdem; podrażniona próżność dorobkiewicza dała się złowić na wędkę. Z jakimś szczególniejszym oddźwiękiem brzmiała mu uszach ci „Lacy z Laszkowic”, czy „na Laszkowicach”, spokrewnieni z ks. Rypińskim, z hrabiami Potorskimi etc. etc. Nie było to osamotnienie, co jacyś podejrzaney autentyczności baronowie Krulle, z niemieckich przybyszów, a choćby nawet Jerzycy, z herbem wprawdzie na pustej szkatule, ale bez stosunków i wyższych kolligacyi, a mimo całą różnicę względów praktycznych, ani porównywać się dało z taką świeżą, wczorajszą dopiero mieszczańską firmą Haseman-Zajęcki. Fiszbaum byłby chętnie w tej chwili odstąpił roczny procent od swego majątku, gdyby przy jego milionach dźwięczało jakieś inne nazwisko, mniej zdradzające właściwe pochodzenie. Wprawdzie

to drobnostka w naszych czasach, ale wolałby był nazywać się jakim Rybickim, albo Drzewcem, albo jakkolwiek inaczej, byle nie tym Fiszbaumem, do którego trudno było dorobić jakąś pokrywę, zasłaniającą owe beczki z olejem i kufy ze spirytusem, na których dziadek pana Izidora niegdyś oparł pierwsze podwaliny jego dzisiejszej fortuny.

Można było uszlachcić to nazwisko, ale w takim razie pozostałoby mu zawsze jeszcze dość pospolite brzmienie obce, które nie przestałoby razić wrażliwszych.

Kontent był prawie z tego, że ma same córki, i że z czasem miliony jego utworzą złotą kopułę, pod którą ród Fiszbaumów jaśnieć będzie do niepoznania zmieniony, zatraciwszy najpierwszą i najfatalniejszą cechę swego pochodzenia w nazwisku.

Głośno nie byłby się przyznał do tego za nic w świecie, ale w rozmowach poufnych z samym sobą nie ukrywał tej próżnej zachcianki; był szczerem w głębi duszy.

Pan Sylweryusz po wyjściu Fiszbauma zacieśniał z zadowoleniem ręce, stał przed lustrem i przyglądał się uśmiechnięty swoim podsiwiałym wprawdzie, ale zawsze jeszcze z pewną pretensją zaczesanym włosom z rozdziałem na środku, swoim ciemnym przymrużonym oczom pod czarną brwią, które zachowały wyraz pewnej męskiej kokieterii z lat młodszych, swej twarzy przywiedlej trochę i pomarszczonej, ale noszącej w rysach ślady dystygowanej rasy.

Niegdyś ojciec Romualda należał do najprzystojniejszych mężczyzn stolicy i za wiele pamiętał o tem w swojej młodości.

To przyglądanie się w lustrze było zwykłym objawem zadowolenia i dobrego humoru u starego Lackiego.

W tych admiracjach samego siebie zastał go Romuald i od pierwszego wejrzenia poznał niezwykłą zmianę w ojcu, który w tej chwili stanowił najzupełniejszy kontrast z synem pochmurnym, pogrążonym w ponurą jakiejś zadumę i przygnębionym, bardziej niż kiedykolwiek.

Zauważył to pan Sylweryusz i spytał:

— Cóż taki skwaszony?... czy znowu co nowego?

— Jutro wyjeżdżam — brzmiała krótka odpowiedź.

— Dokąd?

— Na wieś; muszę zobaczyć się z Huliczami i skłonić ich do nowego układu, bo inaczej wszystko przepadnie. Pinkower grozi licytacją Zalesia Wołyńskiego; mamy teraz nóż na gardle; jeśli sprzedadzą, pójdziemy z torbami, a Zalesie przejdzie w ręce, z których go nigdy już nie wydobędziemy.

Ojciec zmarszczył na chwilę brwi, ale uśmiech powrócił znów na rozpogodzoną twarz jego.

— Nie sędzę, aby tak źle być miało — rzekł — znajdzie się jeszcze ratunek w ostatniej chwili.

— Zkąd?... chyba z nieba.

— Znajdzie się i na ziemi, jeżeli poszukać zechcesz... Jedź i wracaj rychło. Huliczom nowy procent przypisz, to ustąpią; zapchaj im gardło czemkolwiek, a Pinkowera przyslij do mnie, ja go udobrucham jeszcze raz.

— Będzie trudno — westchnął Romuald — Małiński mi powiedział w tajemnicy, że Alexander Iwanowicz ma apetyt na Zalesie i że umyślnie skłania do licytacji, aby skończyć raz jaknajprędzej. Niech ojciec nie zapomina, żeśmy mu odmówili przed rokiem dobrowolnej sprzedaży. Zalesie mu potrzebne, a zresztą obraził się wtedy na nas za odmowę i groził, że tak czy owak na swoim postawi.

— Nie bój się, nie taki dyabeł straszny, jak go malują. Spłacimy Pinkowera i do licytacji nie przyjdzie.

Romuald ze zdziwieniem spojrział na ojca.

— Czem spłacimy? — zapytał.

Stary stanął przed nim, ręce położył na ramionach syna i spoglądając mu w oczy z uśmiechem wytrzymywał go czas jakiś w milczeniu, wreszcie rzekł:

Przecież pomieszczono się i wszystkim dobrze tu było, a może nigdzie pod złocistymi lamperyami, wśród najparadniejszych komnat nie wiał duch czystszy i wznioślejszy, nie odzywały się szlachetniejsze, wyższe myśli i nierzadko też znajdował się tu gość, i to ze sfer rozmaitych. Niejeden syn magnacki śpieszył, aby odetchnąć panującą tu atmosferą, ogrzać się zapalem najświętszych ludzkości uniesień.

Julia jaśniała szczęściem i zadowoleniem, ale w „kadrylu” ona była najmniej znaczącą osobistością. Jakkolwiek przypadł jej w udziale los bynajmniej nie niski, bynajmniej nie pośledni: dawać szczęście ukochanemu przez naród pocie, być w jego życiu ciepłym światła promieniem; ona przecież pojmowała to inaczej. Nie chciała pozostawać w cieniu poza kimkolwiek i zapragnęła świecić własnym blaskiem, zostać też literatką, pisarką. Już w Kolto zaczęła pisać pamiętniki swojej miłości, kreślone sposobem dziennika, i mieszając prozę z wierszami. lecz teraz zapragnęła to drukować w „organie pięknych dusz” w tygodniku peszteńskim „Eletkepek.”

Szturm przyznaje, że literackiej produkcji Julii Petőfi nie czytał, ale przytacza sąd kogoś innego, który — jak zapewnia — był zdolnym ocenić ją sprawiedliwie, a podejrzewać można pod tym Jokaya. Otóż ów ktoś sądu pochwalnego nie wydał: „Nie jest to rzecz bez interesu, ale sprawa na czytelniku wrażenie, jakgdyby umysł piszącej błakał się kędyś w fantastycznym, urojonym świecie, a gwałtowne wylewy uczucia, namiętny ich wyraz i nieład myśli, każą wątpić, czy jest pod tem wszystkim jakaś prawdziwa głębość. Samo ukazanie się tych pamiętników zaraz po ślubie nieprzyjemnie raziło. Wprawdzie serdeczne sprawy poety, drogiego narodowi poety, mogły budzić zajęcie; ale są tajemnice, których się nie głosi na rynku i które tam spotykać jest przykro — są uczucia, które utracają swoją świętość, gdy się je na pełne światło przed oczy ludzkie wynosi, aby na świeżo ciekawości tłumu podane zostały. Świadczy to zawsze o próżności, o braku delikatności serca w tym, który się takich rzeczy dopuszcza.”

Lecz Julia należała do rzędu tych natur właśnie, które owej delikatności serca nie posiadają, które chcą stać na świeczniku i za jakąbądź cenę rozgłosu pragną. Czyż dla tego wyrwała się z domu rodziców prawie gwałtem, czyż dla tego przyzwyczajona do wygod i dobrobytu puściła się na niepewne fale losu, — aby zakryte przez innych stać w kącie, w kącie kochać i od tej miłości brać, dając zarazem całe szczęście?

Została żoną sławnego człowieka, żyła w kole sławnych i znakomitych ludzi: nie chciała więc tego wszystkiego blasku pod korzec chować, ale jak można najjaśniej, nim zaświecić i stać się znaną, wielbioną na własną rękę, jako mużę zaprzewającą uczucia poety. Więc bez żadnej potrzeby umysłu lub serca, nie mając nic do powiedzenia ludziom, zastępując talent sentymentalnością i tworzonemi na pokaz frazesami, uczyniła się autorką. Czy Petőfi nie cierpiał nad tem, czy go to nie bolało, że publikowały się najdroższe jego życia skrytości, że oddawano na łup ciekawości to, co było najmocniej jego osobistą własnością? Domyślać się trzeba z przytoczonych wyżej ustępów poślubnych jego poezyi, że zapewne dojrzał już skaz pewnych na duszy swojej Juliski, ale nie zdołało to zmniejszyć jego do niej miłości, a fenomen to jest psychiczny, powtarzający się nierzadko, że serca ludzkie kochają nie według uznanej wartości drogiego im przedmiotu, lecz według swej własnej siły, siły uczucia i zdolności ukochania. Mogą przecierpieć zawód, znieść niesprawiedliwość, zapomnienie nawet i niewdzięczność, ale przestać kochać — nie mogą!

(Dokończenie nastąpi).

— Czem?... nie domyślasz się szczęśliwce?... posagiem panny Ludwika, jeśli się z nią ożenisz.

Romuald cofnął się o krok gwałtownie.

— Ję? — zawołał zmieszany.

— No, przecież nie ja; w moim wieku byłoby to szaleństwem żenić się z młodziutką panienką — mówił wesoło pan Sylweryusz — gdyby jeszcze jaka wdówka dobrze zakonserwowana, to jeszcze, ale o tem niema co mówić.

— Zkądże ojcę to przyszło do głowy?

— Zkąd?... z powietrza; był tu do ciebie stary Fiszbaum, siedział ze dwie godziny, chce nas gościć z Potorskim, ciebie zaprasza na gwałt, abys się przynajmniej pokazał u nich i dowiedział chociaż o zdrowie panny Ludwika... Cóż ty na to?... Kocha cię podobno, jak syna, a szanuje, jak żydzi rabina, i on, i cała jego rodzina, a zwłaszcza panna Ludwika, która ma do ciebie większe zaufanie, niż do własnego ojca. Widzisz, nigdy mi się z tego nie chwaliłeś!...

Romuald rzucił się na fotel, wzburzony.

— Cóż ztąd?... — rzekł niechętnie, hamując się — to do niczego nie doprowadzi.

— Wolisz zatem, aby Alexander Iwanowicz kupił Zalesie, a po niem reszta ziemi rozsypała się tak samo? — spytał ojciec z naciskiem, spoglądając z pod oka na syna z miną posiwiącego Mefista.

Nastąpiła chwila przynębiającego milczenia.

— To rzecz godna namysłu — zaczął znów stary Lacki. — Ja ci nie narzucam więcej mojego zdania. Jesteś pełnoletnim i odpowiedzialnym za siebie i za swoje postęпки. Rób, jak chcesz; o mnie nie chodzi. Ja zapracuję nawet w potrzebie na kawałek chleba. Belizaryusz ślepy żebrał; ja będę sprzedawał ramki i patarałki po ulicach, jeśli nic innego zrobić nie potrafię; z głodu nie umrę, bądź spokojny.

— Ojczu, co ojciec mówi!... po co ta ironia? — zachnął się Romuald — proszę mnie jeszcze bardziej nie dokuczać, i tak mi wszystko dokucza. Ja potrzebuję teraz równowagi i spokoju, więcej niż kiedykolwiek.

Wstał raptownie i wyszedł do saloniku, zamykając drzwi za sobą. Usiadł przy swoim biurku, głowę oparł na dłoniach i zamyślił się głęboko; w skroniach biły mu pulsa gwałtownie. Rozmowa z ojcem wzburzyła go jeszcze bardziej.

Powracając od adwokata, który mu od pewnego czasu samych łobowych wieści dostarczał, wstąpił do pani Zofii, aby się z nią pożegnać przed wyjazdem, ale jej w domu nie zastał. Ucałował tylko Dziunię, z którą był teraz zaprzyjaźniony, jakgdyby ją znał od urodzenia. Dziewczynka dziwnie lgnęła do niego, mówiła mu poufale: „ty” pomimo napominania macochy, i zasypywała go zawsze mnóstwem zapytań. Nie przychodziła teraz ani do matki, ani do bony informować się w rozmaitych kwestiach, jakie się jej żywemu umysłowi nastroczały, tylko powtarzała sobie:

— To mi to Romuś powie, gdy przyjdzie.

Miedzy dzieckiem a dojrzałym mężczyzną wyrobił się jakiś osobliwy stosunek przyjaźni, poufaleści, serdecznej sympatii. Dziunia tęskniła formalnie do swego przyjaciela, jeśli go dłużej nie widziała.

Z bardzo zadąsaną miną przyjęła też wiadomość o wyjeździe Romualda. Objęła go rączkami za szyję i wpatrując mu się w same oczy, pytała:

— Dlaczego ty jedziesz?

— Bo muszę.

— Co to znaczy, muszę!... jakbyś chciał, tobyś został. Ja wszystko robię, co chcę. A na długo pojedziesz?

— Nie wiem, może na tydzień...

— Na tydzień?!...

— Może na dłużej.

— Co?... może na dłużej?... to ja cię nie puszczać wcale. Co my tu zrobimy bez ciebie!

Tuliła się do niego i ścisłała go napół z płaczem.

— Proszę cię, nie jedź na tak długo — mówiła dalej, przymilając mu się, jak kotka — jedź sobie na jeden dzień, no! na dwa dni, do niedzieli, do brzo? ale w niedzielę wróć, w niedzielę rano. Pamiętaj!...

— Kiedy ja pojedę daleko.

— Bardzo daleko?

— Bardzo.

Dziunia w ręce plasnęła.

— Wiesz co?... zabierz mnie z sobą. A są tam konie na tej wsi, takie małe — kucyki?... są?...

Romuald uśmiechnął się, pochwycił wpół małą trątkę, uniósł ją w powietrze i ucałował serdecznie.

— A któżby tu z mamą pozostał! — rzekł, sadzając dziewczynkę na kolanach.

— To i mama pojedzie z nami.

Nie chciała go puścić; musiał jej przyrzec, że napisze do niej osobno ze wsi i powróci, jak będzie mógł, najrychle.

— Idź, idź, — gniewam się na ciebie, — mówiła, chmurząc swoje czołko i strojąc dziobek zadąsany, odwrócona do dużego zwierciadła, w którym mogła dobrze widzieć odchodzącego Romualda. — Jesteś niedobry, przestanę cię kochać, jeżeli za tydzień nie przyjedziesz.

Łzy miała w oczach, gdy to mówiła; podbiegła jeszcze raz do niego i rzuciła mu się na szyję.

— Bądź zdrow, a pamiętaj, że masz napisać — przypomniała — ale do mnie samej, osobno, a do mamusi osobno.

Romuald wyszedł, rozrzuwiony tem pożegnaniem z dzieckiem, które go instynktownie kochało, jak starszego brata, z naiwnością dziecięcą a z jakąś siłą dojrzałej kobiety.

Był to także jeden węzeł więcej, który zacieśniał stosunek jego z panią Zofią.

Ale im bardziej okoliczności ich zbliżały, tem bardziej los jakiś złośliwy starał się ich rozdzielić, tem więcej odbierał nadzieję połączenia się kiedykolwiek i gromadził przeszkody moralnej i materialnej natury.

Ten ciężki, trudny, ale konieczny i święty dla Romualda obowiązek ratowania przyszłości, do którego poczuwał się nie z egoistycznych względów, stwarzał fatalną sytuację. Romuald czuł, że w namowach i wywodach ojca tkwiła w gruncie rzeczy praktyczna strona kwestyi, odsuwał projekt poddawany sobie, ale musiał przyznać, że był on jednym środkiem ratunku, jedynym sposobem rozwiązania sytuacji i zażegnania groźnego widma ruiny, upadku, przegranej nazawsze.

Katastrofa odsuwana tak długo, groziła teraz bezpośrednio i stanowczo. Wystąpienie najzacieśszego z wierzycieli miało być tem dmuchnięciem w karciany domek, tą drobną grudką u szczytów, strącającą całą lawinę.

Pinkower, poduszczany przez najbliższego sąsiada Lackich, który oddawna miał wielką ochotę nabyć dobra zbankrutowanego szlacheica, odgrażał się teraz z całą czelnością, żądał zwrotu całej summy odrazu, nie chciał czekać dłużej i wchodzić w nowe układy.

Było czego zwiesić głowę i zadumać się boleśnie.

O nowych pożyczkach ani marzyć; o większych dochodach z administracji majątku w tych warunkach na teraz mowy być nie mogło.... I tak Romuald wyrzekł się wszystkiego, ograniczył do minimum swoje i ojca wydatki i potrzeby, byle tylko umniejszać ciężarów i oczyszczać ziemię rodzinną. Zdawało mu się, że w ten sposób zażegna burzę, wiszącą nad ich głowami, przetrwa, przeczeka najgroźniejszą kryzys i ojcowizny z rąk nie wypuści.

Wszystkie poświęcenia, wszystkie wysiłki, wszystkie kombinacje potykały się zawsze o jeden najważniejszy szkopuł: o brak dostatecznej gotówki, która by można było pedeprzeć interesu zachwianego mienia. Nastąpiły czasy coraz trudniejszej konkurencji, coraz cięższych warunków bytu dla takich, jak Lacy w całym kraju, tem większą sztuką było utrzymać się, im większy obowiązek potem, im cięższą odpowiedzialność za każdy krok fałszywie postawiony.

Nigdy dotąd Romuald nie znalazł się w tak beznadziejnym położeniu i nigdy tak zgnębiony nie wyjeżdżał w sprawie majątkowych interesów.

Pan Sylweryusz zaś po rozmowie z Fiszbaumem nabrał dziwnej otuchy, którą przejmują się łatwo umysły miałkie w podobnych razach; postanowił sobie działać za plecami Romualda, odkąd

się przekonał, że pozyskał pewien wpływ na bankiera.

— Chcesz, czy nie chcesz, już ja cię ożenię! — mówił w myślach do syna, ze stanowczością maniaka a despotyzmem ojcowskiego uporu.

Zdecydował się oddać wizytę Fiszbaumowi zaraz po wyjeździe Romualda i przasć dalej tę nitkę, którą pochwycił w swe palce; miał swój plan; chodziło tylko o zbadanie terenu.

List, który pani Odoniecka otrzymała w dwa tygodnie po ostatnim widzeniu się z Romualdem od niego, przejął ją dreszczem; wiał z niego taki smutek rozpaczliwy, taki pesymizm niezwykle, który nagle siłą reakcji zbudził się w duszy Romualda i straszny kontrast stanowił z jego poprzednią wiarą w siebie, w swe siły, w sprawiedliwość losu. Donosił jej szczegółowo o wszystkim, co go obecnie przynębiało, nie ukrywał niczego, zwierzał się, jak przed siostrą; poraz pierwszy nawet dotknął najdrażliwszego tematu, którego unikał dotąd w rozmowach swoich z Zofią.

„Łatwo wyobrazisz pani sobie obecny stan mojej duszy — pisał w jednym miejscu — a zrozumiesz go jeszcze lepiej, kiedy ci odkryję ostatni z tych kółców, jakie mnie do krwi ranią każdym draśnięciem.

„Czy wiesz pani, jaki mi środek podsuwają do wyjścia z fatalnej sytuacji?... bogate ożenienie się. Swatają mnie gwałtem, starają się otumanic i rozum, i ambicję, i wszystkie drażliwości moje — tyłko serca nie otumania, biednego serca, które musi pokutować, Bóg wie za czyje winy.

„Przybiegły aż tutaj za mną pokuszenia, jak natrętne wiedźmy i powiem pani ze wstydem: tak mnie zepsuło nieszczęście, tak wyczerpała walka z przeciwnościami, iż gdybym mógł ich podszeptów usłuchać, kto wie, czy nie zrobiłbym tego, do czego mnie najbliższe ręce popychają, aby tylko powstrzymać ruinę, pod którą zagrzebać trzeba będzie wszystko, wszystko bez ratunku!...

„A jednak jestem, jak rozbitek, co przez powódz chce przepłynąć do brzegu, na którym zabłysło mu światło i nie chwyta liny, rzucanej z ratunkowej łodzi, bo mu się serce rwie gdzieś indziej; że pokochało — zapomnieć nie może.

„Widzi pani, jak ja cynicznie jestem szczery wobec ciebie, ale to dla tego, abyś wiedziała, ile sił potrzebuję do zniesienia tej doli, którą mnie teraz jakiś bardzo zły demon doświadcza.

„Przyszliz mi pani kilka słów serdecznych; bardzo mi są teraz potrzebne.”

W liście dołączonym dla Dziuni stały tylko te wyrazy:

„Mała przyjaciółeczko moja!... Twój Romuś bardzo smutny i zgnębiony, słowa ci dotrzymać nie może, bo sam nie wie, kiedy i czy powróci.

„Ale mimo wszystko o Tobie pamięta i codziennie czołko Twoje w myślach całuje; jedyną mu to teraz przyjemność sprawia.

„Poproś Mamusi, niech cię nauczy modlitewki za brata i odmawiaj ją za mnie co wieczór przy pacierzu”...

Pani Zofia bardzo długo nosiła się z listem Romualda i rozmyślała nad nim głęboko, poważnie, z oczyma suchemi, ale ze łzami w sercu. Nie chciała mu odpisywać natychmiast; rozpoczęła ciężką walkę ze sobą samą, którą zakończyła po kilku nieprzespanych nocach stanowczem postanowieniem.

— Powinnam usunąć się z jego drogi — mówiła sobie — i tą beznadziejną miłością nie tamować mu przejścia. Niema szczęścia dla nas obojga, choć go jest tyle na świecie. Po co się łudzić!... Niech idzie w swoją stronę sam, inną drogą, skoro wspólną razem pójść nie możemy. Miłość moja uratować go nie zdoła, a do zguby przyczynia się tylko.

Napisała do Romualda krótki, spokojny, siostyczny list; starała się w nim ukryć ból, jaki zadała sobie własną ręką i przedstawiać inaczej, niż on ją widział zakochanemi oczyma.

Błogosławiła teraz losy, które nie pozwoliły im zaudać się przed sobą i związać ślubem wyznania całkowitego miłości.

„Pozostawię dla pana zawsze tę przyjaźń, — pisała — jaką uczułam od początku; przyjaźń tylko, bo przekonuję się, że na miłość już dla

nikogo serce moje nie wystarczy. Za długo kazono mu milczeć w życiu i oniemiało zupełnie."

Najwięcej kosztował ją ostatni ustęp:

"Dlaczego nie miałbyś się pan ożenić?... ja z doświadczenia mogę powiedzieć, że można znaleźć w małżeństwie przywiązania i jeśli nie szczęście, to równowagę i spokój, byle go samochęć nie wicherzyć zachciankami czegoś innego."

"Ożeń się, jeśli jesteś kochanym; ja pierwsza błogosławić będę waszemu związkowi i cieszyć się z niego."

Musiała przerwać pisanie, bo jej łzami zapływały oczy, zadając kłam wyrazom. Szlochała, rzucając się na fotel z boleścią, która jej duszę pręła w tej chwili, ale po jakimś czasie siłą woli powstrzymała łzy znowu, spojrzawszy bolesnym wzrokiem na krucyfiks przy kłęzniku i wróciła do biurka, by dalej pisać w spokojnym, przybranym tonie czulej, rozważnej siostry, pocieszającej brata w nieszczęściu.

Dodawała mu energii, wiary, odwagi, przypominała o celach i obowiązkach, które określał niegdyś przed nią tak pięknie i zakończyła słowami, napozór obojętnymi:

"A nie siedz pan zbyt długo tam na wsi, bo gotoweś nie zastać nas w Warszawie; wyjeżdżamy z Dziunią na święta do rodziny".

W kilka dni po wysłaniu tego listu, dom pani Zofii zamknięty został na długo; przyspieszyła swój wyjazd na Ukrainę, pozorując go ważnymi interesami spadkowymi, które ją powoływały do Kijowa...

Wyjechała z zamiarem niepowrócenia więcej do Warszawy.

W dniu jej wyjazdu pan Sylweryusz telegrafował właśnie do syna:

"Fiszbaum pożyczka nam 50,000 na spłaceniu Pinkowera; wracaj natychmiast. Andrzej przyjechał."

Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Sierpniu 1887 r.

Kolonie wakacyjne.—Walne zgromadzenia towarzystw „Skala” i „Rodzina”.—Nowości literackie. *Listy Zygmunta Krasińskiego*, tom trzeci. — Porównanie między Mickiewiczem i Słowackim. — Charakterystyka Shakespeare’a. — *Ze starych wspomnień Aleksandra Wybranowskiego*. — *Konfederacya Spytka z Mielsztyna*, przez Antoniego Prohakę. — *Roczniki Samborskie*.

Lwów opustoszał z nadejściem feryi, upałów i pory kąpielowej. Po zamknięciu szkół w połowie Lipca całe nauczycielstwo nasze udało się na zjazd pedagogiczny doroczny do Stanisławowa, zjazd rozjechało się po dwudniowych uroczystościach w rozmaite strony, aby użyć czasu wakacyjnego. Kolonie wakacyjne, złożone z ubogiej młodzieży szkół ludowych, wyjechały także równocześnie na swe stanowiska, pod okiem delegowanych w tym celu nauczycieli. Góry Stryjskie są wybornie obmyślanym miejscem na pomieszczenie tych kolonii, a skutki ich dobroczynne na zdrowie młodzieży są widoczne. Dzieci wyjeżdżające z miasta chorowite i osłabione, wracają po czterotygodniowym pobycie w górach zdrowe, rześkie, z cerą zdrową i zdwojoną siłą. Chłopcy mają kolonię w pobliżu Skolego, w Hucie Korostowskiej, gdzie przed laty kilku ówczesny właściciel tej majątności hr. Kinsky, ofiarował bezpłatnie rozległy budynek w zdrowym i prześlicznym położeniu na pomieszczenie kolonii. Dzieci mają tu świeżego powietrza do woli, wspaniałe widoki górskie, piękną i bogatą przyrodę, dalekie przechadzki, nabiał i zdrowe pożywienie; odbywają dla zabawy ćwiczenia gimnastyczne i dalekie marsze—słowem: używają całą piersią swobody i tego wszystkiego, czego nie mają w mieście, a co je na rok cały krępi moralnie i fizycznie, miłym pozostając wspomnieniem. Kolonia dziewczęca, podobnie uszczę-

śliwiona pobyt w górach, przepędza wakacje w Lisowcach, pod okiem nauczycielki. Idąc za tym przykładem, kuratoria tutejszych szkół ludowych żydowskich, postarała się o zgromadzenie drogą składek funduszu na wysłanie uczniów, potrzebujących korzystać z kolonii wakacyjnej dla zdrowia, do Wędrziszki; a w Rymanowie kolonia lecznicza korzysta z dobrodziejstwa miejscowego źródła, złożona głównie z dzieci skroficznych, potrzebujących kuracji wód mineralnych.

W miesiącu Lipcu odbyły się, jak zwykle w tej porze, doroczne walne zgromadzenia kilku towarzystw. „Skala”, Stowarzyszenie czeladzi rękodzielniczej, obchodziło jubileusz trzydziestoletniego istnienia. Stowarzyszenie to, mające na celu umysłowe i moralne wykształcenie młodzieży rękodzielniczej, funduje zaszczepienie w niej poczucia własnej godności i zaszczytu stanu rzemieślniczego, było swego czasu pierwszym, co w tym kierunku podjęło u nas pracę pod przewodnictwem niezmiennie pod tym względem zasłużonego księdza Odelgiewicza. Za przykładem „Skali” widząc zbawienne owoce stowarzyszenia, zawiązało się drugie podobne, lecz w rozleglejszym zakresie, pod nazwą „Gwiazda” i obecnie rozwija się obadwa bardzo pomyślnie. „Skala” posiada już majątek, wynoszący wraz z wartością domu i inwentarza, przeszło 50,000 złr., posiada bibliotekę własną, liczącą 1,110 dzieł rozmaitych, a dla wykształcenia uczęszczającej do stowarzyszenia młodzieży, obok zwykłej nauki elementarnej, odbywają się w ciągu zimy wykłady popularne w rozmaitych przedkładach, z rękodzielnictwem związek mających. Ubiegłej zimy odznaczyły się pomiędzy innymi, tak treścią, jak i znakomitą przedstawieniem przedmiotu wykłady emerytowanego radcy namiestnictwa p. Kajetana Orleckiego: „O historii przemysłu i handlu w Polsce”. Odczyty te, ożywione duchem prawdziwie obywatelskim i trafnie zrozumieniem potrzeb stanu rękodzielniczego, mają być, na dochód „Skali”, drukiem ogłoszone.

Równocześnie odbyło walne zgromadzenie Towarzystwa „Rodzina”, szerzące się u nas dosyć pomyślnie ostatnimi czasy. Piękny to pomysł: zjednoczenia całego społeczeństwa niejako węzłem rodzinnym, wzajemnej pomocy, dla zabezpieczenia członkom tej rodziny spokojnego kęsa chleba na starość, mianowicie dożywotnej emerytury. Jeżeli Stowarzyszenie „Skala” ma, jak widzieliśmy, głównie cele moralne: podniesienie oświaty i poczucia własnej godności, to „Rodzina” wytknęła sobie zadanie bardziej filantropijne: dbałość o członków składających tę, statutom stowarzyszenia utworzoną, rodzinę, na ich stare lata, gdy staną się niezdolnymi do pracy. Rzecz to piękna, ale czy wykonalna w rozmiarach statutem przepisanych, o tem dużo powiedzieć, by się dało. Oto zapewnia statut członkom, którzy przez pięć lat opłacali składkę przepisaną do kasy stowarzyszenia, gdy staną się niezdolnymi do pracy, emeryturę dożywotną w wysokości 75% rocznie od wniesionej przez nich wkładki. Gdy atoli wkładki wnoszone do towarzystwa mogą najwyżej w zwykłym biegu rzeczy przynieść 5%, jakimże buchalteryjnym sposobem wydestakować 75%, które statut zapewnia członkom emerytowanym? Obecnie kiedy jest uprawnionych do poboru emerytury wszystkich razem dopiero osiemnastu członków, to łatwo sobie poradzić, bo należąca emerytura, oile odsetki od własnych udziałów członków emerytów nie wystarczają, uzupełnia się to z innych udziałów i darów członków wspierających, to z dochodów roku następnego z funduszu rezerwowego. Ale co będzie po upływie pewnego lat przeciągu, gdy liczba uprawnionych do emerytury w setki urośnie, a każdy żąda na mocy statutów 75% rocznie od swej składki, czyli od udziału, do kasy stowarzyszenia opłaconego? Jedynym na to środkiem jest obudzić jaknajżywszą w kołach szerokich dla stowarzyszenia sympaty i starać się o uzyskanie jaknajwiększej liczby członków *wspierających*, nieroszczących prawa do emerytury. Uboczne fundusze, jak dochody z balów, festynów, koncertów i t. p., muszą przyjąć w pomoc zobowiązaniom „Rodziny”. Mam nadzieję, że to się po-

wiedzie, bo któż z troskliwych o dobro społeczeństwa nie pośpieszy podać ręki temu, tak pożytecznemu, stowarzyszeniu, i przyczynić się według możliwości do spełnienia jego wysoce filantropijnego zadania?

Długo pozbawiony możliwości czytania dla choroby oczu, ztem większem upragnieniem zwracam wzrok ku sporej wiązance świeżo pod tę porę wydanych książek, zasługujących na uwagę, odczytując je z łakomstwem zgłodniałego żołądka. Pierwsze tu miejsce zajmują treścią i liczbą wydawnictwa księgarni Gubrynowicza i Schmidta, a między temi *Listy Zygmunta Krasińskiego*, tom trzeci. Dawniej wydane dwa tomy zawierały listy do Gaszyńskiego i Sołtana. Obecny tom trzeci zawiera listy do kilku rozmaitych osób, pozostających z Krasińskim w bliższych stosunkach literackich lub przyjacielskich, jako to: do Juliusza Słowackiego, Romana Załuskiego, E. Jaroszyńskiego, Kajetana Andrzeja i Stanisława Koźmianów, na koniec do Bronisława Trentowskiego. Okoliczność, że są to listy pisane do różnych osób, różnych wyobrażeń, zajęciem, rodzajem pracy umysłowej i literackiej, czyni, że treść ich staje się bardziej urozmaiconą, w każdym bowiem szeregu tych listów omawia Krasiński, według tego, do kogo pisze, te przedmioty, bądź to z dziedziny poezji, filozofii, religii, lub literatury wogóle, które wiążą się z kwestyami bieżącymi, mającymi styczność z pracami i zawodem osób zostających z nim w stosunkach. Do Słowackiego najwięcej mówi o poezji, o literaturze, rzuca poglądy krytyczne, charakteryzuje z wielką nieraz oryginalnością i trafnością zdania stanowisko i wpływ wielkich mistrzów słowa na społeczeństwo, literaturę i bieg historii. Poglądy te są zawsze pełne wzniosłych myśli, poetycznego uroku, znamionujące ducha krążącego na wysokościach ideału, obejmującego rozległą ich sferę natchnionym poletem, przejętego najtkliwszymi i najzaciejszymi uczuciami obywatelskimi, dążącego w każdym słowie do tego, aby ludzkość podnieść i uszlachetnić. W jednym z listów charakteryzuje Mickiewicza, jako poetę, przeciwstawiając mu Słowackiego:

„Znam trzy duchy, pisze w r. 1840, każdego w swoim okręgu. Jeden przeszedł, minął, zostawił za sobą obelisk granitowy wśród pustyni. Obelisk stoi, a ten, co go postawił, uczy Szwajcarów po łacinie. Drugi posiadał wszystko na czem zbywało pierwszemu: posiadał język polski, jak się posiada kochankę gotową na każde skinienie na śmierć, gdy każesz, na życie gdy spojrzysz; posiadał ten język magnetyzera cudną potęgą, tak, że nie on za językiem, ale język za nim goni i prosi go i mówi mu: „Ot cały twój jestem: każ— a posłucham zawołasz, — przybiegnę; mrugnieśz w niebo— polecę tam; wskażesz piekło palcem— zstąpię do piekła. Chcesz, bym stwardniał w bryłę—patrz, marmur ze mnie; bym w gaz się ulotnił—patrz, jakim błękitny i znów śniady, a przejrzysty, płynny prawie już nie będący, jednak zawsze *twój*. Ten drugi duch zagarnął pod siebie wszystkie widnokreśli wyobraźni.... Trzeci to August Cieszkowski—ale ten należy do filozofii.

Pisząc o „Balladynie”, z powodu głosów krytycznych, jakie przeciw niej wystąpiły, wzywa poetę:

„Julu! zaklinam cię, nie dbaj o te gwary, które się kiedyś do ciebie nawróca. Trzymaj nakształt arfy eolskiej duszę twoją wyżej nad wszystkie dłonie ludzi, wśród powiewów nieba. Niech myśli Boga, promienie gwiazd, i skrzydła przelatujących aniołów grają na niej, a nie myśli ludzi, redakcyje paryżkie, zdania, uwagi, rozprawy”...

Rzecz ciekawa, jak się Krasiński zapatrywał na Shakespeare’a, i jak pojmował istotę jego geniuszu. W jednym z następnych listów do Słowackiego pisze o nim:

„Jest w starym Szekspirze i duch dobry, wzniosły, tytański, ale jest i zły również, i ten zły, czyli niedomiar *dobrego*, brak *wielkości*, brak pojęcia na czem powszechność, ogół, *harmonia wszech-zycia* zależy, piętno materializmu angielskiego, piętno specyficzne, narodowe wyciska na czole Szekspira piętno charakterystyczne, ale nie piętno piękności. Nieporównany co do szczegółów, co do ich doskonałego wyrobienia, co do analizy

życia; w tem nikt go nie prześcignie. Lecz właśnie dlatego, że nadto wyłączny, zanadto w same pojedynkowe rzeczy i części tylko zaopatrzony, zewnętrzny mechanizm życia ziemskiego rusza się w nim; ale głęboki, wieczny jego organizm gdzie?... Gdzie wiara życia, gdzie to, co wszystko rozsypane skupia, wszystko rozmaite jednoczy, wszystko sprzeczne w końcu godzi i tożsamuje? Wielki to mistrz na dyssonanse. Dyssonanse są połową życia; lecz gdzie przejście w harmonię, w ogół, w nieskończoną prawdę i piękność, w tę drugą, wyższą życia zarazem i połowę i całość? Czem w stosunku do filozofii historii taki wielki historyk, jak Tacyt, tem w stosunku do pomysłu poezji taki wielki poeta, jak Szekspir—wielki, zaiste, lecz niedorównujący całemu pomysłowi poezji...

(Dalszy ciąg nastąpi).

PODRÓŻE.

Listy Antoniny Herf z Indyi Wschodnich.

(Dalszy ciąg).

Trudno powstrzymać się od śmiechu, widząc grymasy, jakie wykonywa jej fiziognomia przy zapinaniu guzików od sukni, doprawdy: żałuję bardzo, że nie mogę przesłać jej fotografii z wytrzeszczonymi oczyma, zmarszczonem czołem, ściągniętymi kątami ust i językiem nazewnątrz wysadzonym. Wydarza jej się bardzo często, że guziki umieszcza w niewłaściwych dziurkach, wtedy, bądź-to zniecierpliwiona naprawdę, lub też, co częściej miewa miejsce — żartami, gniewam się na nią, co wprawia ją w niesłychany strach, a twarz przybiera jeszcze komiczniejszy wyraz. Prócz niej posiadam szwaczki, które zajmują się szyciem i naprawą odzienia i bielizny.

Mam również do rozporządzenia służących, wyłącznie do obsługiwania przy stole, do przygotowywania bezustanku zimnych napojów i do roznoszenia korespondencji. Mąż mój, prócz stangreta i stajennego, posiada swą wyłączną usługę, której używa również do posług w biurze. Zupełnie oddzielny służący zajmuje się przyrządzaniem lamp i przyznać należy, że czynność jego nie jest bagatelna. Gdy w Europie posiadacie, albo łatwo dające się w porządku utrzymywać i zapalać lampy gazowe, niewymagające prawie żadnego poprzedniego przyrządzania, albo w razie oświetlania natą kilka lamp wszystkiego; nasz lampucer musi codziennie przygotować trzydzieści, do czterdziestu lamp naftowych, a w nadzwyczajnych okolicznościach jeszcze więcej. Ogrodnik pielęgnuje kwiaty i drogi w naszym ogrodzie i nareszcie szwajcar, którego zadaniem jest meldować przybyłych i nie wpuszczać do domu handlarzy i żebraków. Jeszcze zapomniałem o tak nazwanej Baboe (Babu), która opiekuje się naszym małym synkiem. Cała ta falanga utrzymuje siedm naszych pokoi w porządku, jest posłuszna i, jak dotąd, jeszcze nas nie okradła.

Powracam jeszcze do sposobu życia. Nadeszła godzina obiadowa, pospolicie nazwana tu posiłkiem ryżowym, albowiem ryż przeważnie wchodzi w skład potraw a przyrządza go się w najrozmaitszy sposób. Do mięsa zwykle podają jarzyny, zarówno tutejsze, jak i konserwowane europejskie, przyrządzają doskonale sosy, drób pieczony, i jeszcze wiele najrozmaitszych potraw najczęściej przyprawionych pieprzem hiszpańskim, a potrawy w bardzo tylko małej ilości bywają spożywane. Na napój mamy piwo, wodę lub też wodę z lodu. Za deser służą przepyszne owoce, które tu w każdej porze roku dostać można; wspomnę tylko o złotych ananasach, za które tu

po 16 groszy płacimy i inny owoc nadzwyczaj smaczny, zwany „Manga” wydający przepyszny aromatyczny zapach. Inny jeszcze owoc zwany „Pisangradia”, przypomina zapach bukietu, w którym znajduje się bardzo dużo kwiatów jaśminowych. Po posiłku ryżowym udajemy się na drzemkę poobiednią, która zazwyczaj przeciąga się do godziny czwartej, następnie pijemy po filiżance kawy lub herbaty, znowu kąpiel i toaleta.

Szara godzina, która już wkrótce się zbliża, poświęcona jest zazwyczaj niedalekiej przechadźce lub przejażdżce; w tymczasie składa się i przyjmuje wizyty. O ósmej podają kolacyę: zupełne, pieczywo, jarzyny, na sposób europejski przyrządzone, po kolacyi przepędza się wieczór u znajomych, gdzie czas szybko schodzi przy muzyce lub partii w—kiksa!—wyjątkowo tylko udajemy się na koncert lub do teatru.

Oto jest sposób życia tutejszych Europejczyków i trzeba wyznać, że nie do życzenia nie pozostawia; mylą się ci, którzy sądzą, że obcokrajowiec zmuszony jest przedzierzgać się w Malajczyka, aby tu mógł pędzić przyjemne życie. W następnych listach postaram się bliżej jeszcze zapoznać czytelników moich, ze sposobem naszego życia, a głównie z krajowcami, ich obyczajami, uroczystościami i t. p.

Powierzliwość tutejszego mieszkańca nie jest powabną. Smagła budowa biała, brunatne zabarwienie skóry w najrozmaitszych odcieniach tego koloru, wystające kości policzkowe, silnie wywinęte wargi, nos szeroki, spłaszczony i długie czarne włosy: oto wierny obraz Malajczyka. Zwykłem odzieniem ich, zarówno mężczyzn, jak i kobiet są wyżej wspomniane, i przez Europejczyków także noszone „Sarong” i „Kabaja”, ta ostatnia u kobiet jest cokolwiek dłuższą, tymczasem sarong u obydwóch płci sięga aż do kostek. Prócz tego mężczyźni noszą jeszcze chustkę jasnokolorową, związaną, jak turban, na głowie, zpod której włosy albo spadają na plecy bezładnie, albo związane są w węzeł. Za pasem mają nieodłączny sztylet nazwany *krys*, którego rękójść u wybitniejszych indywiduów ozdobiona jest złotem lub srebrem, a nawet i drogiemi kamieniami. Obuwia nie noszą żadnego. Siłą charakteru nie odznaczają się tuziemcy; mieszkancie Jawy płaszczy się przed każdym Europejczykiem, prawie bez wyjątku są wszyscy leniwi, lekkomyślni, i posiadają nieprzeciętny pociąg do kradzieży. Jeżeli się z nimi obchodzić sprawiedliwie, łaskawie, wtedy stają się po części nawet dobrymi i wdzięcznymi. Gdy Jawajczyk chwytą się trucizny lub kindżała najczęściej powodem tego bywa dotknięta miłość własna lub zazdrość.

Europejczycy w stosunkach z wyższą klasą ludności miejscowej posługują się mową hollenderską, ze służbą zaś malajską, z Arabami i Chińczykami porozumiewają się mową Malajów, której wyuczyć się wcale nie trudno.

Co do mnie, pomimo niezbyt wielkich zdolności lingwistycznych, wyuczyłam się łatwo tak wyższej, jak i niższej mowy jawajskiej. Wydarza się jednakże nierzadko nieporozumienia, które raz rozirytować drugi znów rozśmieszyć mogą. Pewnego dnia, w czasie nieobecności męża, uczułam palące pragnienie. Już miałam chwycić za dzwonek, by przywołać służącego, do którego należy podawanie zimnej wody, gdy spostrzegłam się, że wyszło mi z pamięci, jak się pomalajsku woda nazywa; nie chciałam sługaczemu na migi wyrazić czego pragnęłam, by go nie upoważnić do śmiechu, skutkiem tego przez czas dłuższy musiałam znosić męczarnie pragnienia. Naraz przypomniałam sobie i na cały głos zawołałam: *Ejar! Ejar!* Wtedy cała służba wpadła do pokoju z rozmaitemi naczyniami napełnionemi wodą; nie mogłam, pomimo całego wysiłku, powstrzymać się od serdecznego śmiechu, ujrawszy ich wystraszone miny, myśleli, że dom się pali.

Pewnego razu zostaliśmy zaproszeni do wzięcia udziału w weselu jawajskiem.

Udaliśmy się na wieś. Po dosyć długiej i nużącej drodze, woźnica zatrzymał się w miejscowości, w której żadnych domów nie było i opodal tylko znajdował się gęsty niewielki las. Prze-

szedłszy piechotą spory kawałek, spostrzegłam dopiero pojedyncze chaty, kryjące się w gęstwinie drzew kokosowych i palm. Przed jedną z chat pilnowało wejścia dwóch Jawajczyków, którzy ujrawszy nas oddali ukłon do samej ziemi, następnie z czołobitnością ucałowali kraje naszych sukien. Zbliżyliśmy się do domku bambusowego, bardzo niskiego i pozbawionego okien; przed nim, na placu, bawiła się garstka dzieci zupełnie nagich, a jedno z nich paliło papierosa, widok bardzo oryginalny! Opodal siedział mężczyzna i strugał bambusowe drzewo do naprawy domku. W innem miejscu kobiety tłukły ryż: czynność, którą wyłącznie kobiety się zajmują. Dla uzupełnienia tej idylli dodać muszę, że wszędzie włóczyło się pełno psów o wyglądzie zgłodniałych szakali. Oile pobyt byłby na tej wyspie przyjemniejszym, gdyby to bezpożyteczne zwierzęta porządnie opodatkowano!

Następnie udaliśmy się do domku głównego, mieszczącego się w samym środku wioski, z kądem dochodziły nas dźwięki muzyki jednostajnej, lecz niezbyt nieprzyjemnej. Gospodarz, wyższy urzędnik jawajski, nazwiskiem Wedhono, wyszedł na nasze spotkanie i uprzejmie prosił siedzieć. Wydawał on swą córkę za młodego Jawajczyka i skutkiem tego był oto ten festyn, trwający dni kilka.

Przedewszystkiem uderzyło uwagę moją kilka tancerek literalnie zawieszonych rozmaitego rodzaju kosztownościami. Wykonywają one ruchy w takt muzyki bardzo powolne, przybierając rozmaite pozy i owijają się malowniczo czerwonym jedwabnym szalem, przyczem pośpiewują piosnkę składającą się z kilku strof. Orkiestra, — nierówności taktu i dyssonansu zarzucić jej nie można — składa się z metalicznych miedniczek, w które, jak w bębni, muzykanci uderzają pałeczkami.

Zasiedliśmy do stołu bogato nakrytego i zastawionego potrawami indyjskimi i europejskimi. Po chwili ukazała się matka z młodą parą. Szczęśliwy wybraniec liczył piętnaście lat wieku, a jego narzeczona była jeszcze o dwa lata od niego młodszą.

Oboje byli w fantastycznych strojach, a twarze, ramiona i ręce mieli na kolor żółty ufarbowane *kurkumą*, co bardzo oryginalny i wcale nie szpetny widok przedstawiało. Wszyscy obecni byli nim zachwyceni, a ja z mej strony dokładałam możliwych starań, ażeby się nie zdradzić cembeskolwiek i nie okazać złego gustu. Trudno mi jednakże bardzo przychodziło powstrzymać się i nie wybuchnąć śmiechem, a mąż mój przyznał mi potem, że dławił się od śmiechu, by głośno nie parsknąć.

Przedstawiono nas trzem osobom nowoprzybyłym; na znak powitania i życzeń podaliśmy ręce, które przybyli z uszanowaniem uścisknęli. U Jawajczyków z lepszych sfer towarzyskich „hand-taking” (podawanie rąk) jest powszechnym zwyczajem. Gdy dano sygnał do spożywania wetów, przygotowałam całą mą uwagę, by się przyjrzeć dokładnie zaproszonym gościom, których był pełen pokój, w jaki sposób spożywać będą tak obfite dary boże. Jakież było moje zdziwienie, kiedy wszyscy zaproszeni goście i krewni opuścili pokój a pozostał tylko gospodarz. Dowiedziałam się potem, że do towarzystwa europejskiego dostęp jest im wzbronionym i nigdy wraz z nimi do stołu nie zasiadają. Dzieje się to skutkiem wysokiego uznania i szacunku, jaki mają dla urzędników cudzoziemskich. Jedynie znakomitsze osoby mogą osiągnąć ten zaszczyt. Po obiedzie byliśmy świadkami ciekawych ceremonii. Pannę młodą owinęły druchny w welon, a następnie zdjęły go; podawano jej do ręki najrozmaitsze przedmioty, przyczem wygłaszano przemowy; następnie prowadzono ją raz w jedną to znowu w drugą stronę, a muzyka w pewnych przerwach przegrywała różne motywy.

Wreszcie orszak zatrzymał się przed narzeczoną, którego poddawano również rozlicznym ceremoniom. Potem narzeczona ukłękła przed swym przyszłym mężem i na znak, że mu przez całe życie będzie poddana, obmyła mu nogi. Po obrzędzie obmywania nóg udała się cała drużyna do świątyni, gdzie kapłan mahometański młodą pa-

rę pobłogosławił, a przy dźwięku hałaśliwej muzyki wrócili znowu wszyscy do domu, aby zabawić się rozmową, pić i w oryginalny sposób się rozweselać. Pożegnawszy towarzystwo wsieliliśmy do naszego powozu i po kilkogodzinnej podróży pod przepysznym miliardem gwiazd zasianym niebem, przyjechaliśmy do domu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIADOMOŚCI Z HYGIENY.

O pielęgnowaniu zębów.

(Dokończenie).

Choroba, która najczęściej przyczynia się do przedwczesnej utraty zębów jest ich próchnienie (*caries*). Polega ona na zmięknieniu substancji zębowej, przyczem z początku na koronie pojawiają się czarne zabarwienia rozszerzające się; z czasem w danym miejscu, skutkiem wykruszenia się szkliwa, tworzy się otwór. W otwór taki wpadają cząstki pokarmów, zarówno płynnych, jak i stałych, rozszerzają proces chorobny, z początku najczęściej bez bólu, coraz głębiej.

Ból powstaje dopiero wówczas, gdy próchnienie zęba dochodzi do miazgi zębowej; wtedy bowiem zostają podrażnionymi znajdujące się tam gałązki nerwowe przez powietrze i cząsteczki pokarmów. Gwałtowny ból zęba zazwyczaj skłania dopiero pacjentów do uciekania się po poradę, gdyż wszelkie domowe środki przeciwko bólom nie skutkują. Wtedy dopiero decyduje się chory na zatrucie nerwu i zaplombowanie zęba.

Po zniszczeniu całkowitem, środkami żrącymi, nerwu, co nieraz kilka posiedzeń wymaga, można przystąpić do tak zwanego plombowania, którego nazwa bierze początek od *plumbum* (ołów) gdyż ołowiem w Starożytności wypełniano otwory zębowe. Dzisiaj na ten cel używają innych metalów; najlepiej nadaje się (szkoda, że takie drogie), złoto. Dobrze zaplombowany ząb może jeszcze przez lata całe oddawać usługi zęba zdrowego, ponieważ jednakże życie w nim ustało, nie odbiera on właściwego pożywienia, traci potrosze swą przyrodzoną barwę i z czasem powoli się wykrusza.

Wypada nadmienić, że plombowanie nie w każdym spróchniałym zębie można skutecznie. Jeżeli otwór jest za wielkim, lub uformował się w ten sposób, że niema do niego przystępu, a w dodatku korzeń zaczyna się psuć i ropieć, nie pozostaje nic innego nad *wyrwanie*. Jakże to za sobą pociąga skutki, niech mi wolno będzie na przykładzie wykazać.

Dziewczynka posiada 32 zdrowe i piękne ząbki, ale ponieważ nie zwracają na nią uwagi, pozwala sobie często nimi gryźć orzechy, gumę, papier, węgle itp. Niepodobna, aby przytem kawałeczek szkliwa zębowego się nie ukruszył; następnie rozmaitego rodzaju potrawy, przede wszystkim zaś kwaśne, rozkładają substancję zębową, pozbawioną już naturalnej pokrywki, i wywołują w niej próchnienie.

Nieraz chory na zęby po pewnym czasie spostrzega, że ząb położony naprzeciwko jamy, jaka pozostała po wyrwanym, zaczyna się chwiać, a nadto, że i zęby obok położone nie trzymają się tak silnie w szczękach, jak przedtem.

Nie należy nigdy bez koniecznej potrzeby wyrwać zęba, lecz, oile się to tylko da skutecznie, zaplombować, następnie nie odwlekać tej ostatniej operacji aż do chwili wystąpienia bólu, lecz przedsięwziąć ją, oile można, jaknajwcześniej; a prócz tego dobrze jest dwa razy do roku poddać zęby rewizji lekarza-dentysty, w celu dowiedzenia się, czy nie poczynają próchnieć.

Prócz próchnienia jest jeszcze kilka innych chorób zębów (zapalenie korzenia, fistuła i t. p.), w których pomoc bezzwłoczna zręcznego dentysty-lekarza jest niezbędną. Nie możemy jednakże w tem miejscu szczegółowo ich rozpatrywać; zatrzymamy się za to jeszcze chwilę nad pielęgnowaniem zębów.

Rozpocząć się ono winno bardzo wcześnie. Są dzieci, mianowicie dotknięte chorobami skrofulicznymi lub też angielską chorobą, u których wyrastają zęby będące, że się tak wyrażę, ze złego materiału, i dlatego wcześniej trzeba z nimi walkę rozpocząć.

Płukanie ust i czyszczenie zębów winno być dzieciom jaknajwcześniej zalecane, aby niejako stało się konieczną potrzebą na całe życie. Po każdym jedzeniu należy usta wypłukać, a czyszczenie zębów odbywać przynajmniej dwa razy dziennie: rano i wieczorem. Najprostsze środki w tym celu są najodpowiedniejszymi. Dla zdrowych ust wystarcza najzupełniej świeża woda i szczoteczka średniej twardości. Ważną jest rzeczą, w jaki sposób się jej używa. Otóż nie należy jej prowadzić po zębach poprzecznie od prawej strony na lewą, lecz górne zęby czyścić pociągając szczoteczką z góry do dołu, a dolną pociągając z dołu do góry. Podobnie czyścić należy powierzchnię wewnętrzną zębów, a także i powierzchnię, którą żujemy. Pomiędzy zęby dostać się można wykałaczką, która jednakże nigdy nie powinna być metaliczna, lecz z miękiego drzewa, albo z pióra gęsiego. Oczyścić przestrzenie między zębami można dokładnie i bez szkody dla nich za pośrednictwem nitki, którą się przeciąga po kilkakroć w jedną i w drugą stronę. Zwracamy uwagę czytelniczek, że nie cukier ani rozcieńczone kwasy niszczą zęby, lecz właśnie pozostałe na czas dłuższy między niemi resztki pokarmów nieprzełkniętych i niewypłukanych.

Troskliwszego pielęgnowania i większych starań wymagają tylko chore zęby. Jeżeli w kilku miejscach na nich szkliwie zostało startem, lub pokazało się już miejscami próchnienie substancji zębowej, albo też jeżeli dziąsła uległy nienormalnemu przeistoczeniu, wtedy należy uciec się do energiczniejszych środków i przepisów dyetycznych.

W tych razach może okazać się szkodliwym spożywanie kwasów, bądź-to w postaci owoców, sałat, przypraw octowych, cytrynowych i t. p., lub wreszcie lekarstw; wszelkiego rodzaju kwasy winny być zapomocą środków alkalicznych zobojętnianymi (neutralizowanymi). Z korzyścią zalecać można w podobnych razach *mydła lekarskie*, jako środek do czyszczenia, które w każdej aptece nabywać można. Komu smak ich alkaliczny jest nieznośnym, może je zastąpić miłą *kredą szlamowaną*, do której, dla zapachu, można dodać kilka kropli olejku miętowego. Proszek węgla i inne, jak sepii nie nadają się tak dobrze do czyszczenia zębów.

Jeżeli dziąsła są nadzwyczaj delikatne i łatwo się krwawią, można do wody dodawać środków ściągających, jako to: tinktury myrry, wody kolońskiej, koniaku, spiritus cochleariae i t. p. Jeżeli z ust wydziela się nieprzyjemny zapach, wtedy należy robić czyste płukanie z roztworu *nad man-*

ganianu potasu (kali hypermanganicum), używając go małego kawałek na szklanke wody. Nieprzyjemny zapach powstaje często ze spróchniałego zęba i zaradzić mu wtedy może jedynie tylko lekarz.

W tych wypadkach, w których skutkiem próchnienia nastąpiła utrata kilkunastu lub nawet tylko kilku zębów, uciec się należy, nie tylko ze względów estetycznych, lecz i higienicznych, do wprawienia sztucznych zębów. Za ich bowiem pośrednictwem oszczędza się zbytnej pracy żołądkowi i temsamem ochrania go się od mogących powstać chorób, na których pierwszym miejscu stoi wyżej już wspomniany katar chroniczny żołądka.

Żałować wypada, że porada dentystyczna (mamy tu na myśli sumienną), jest tak drogą, że dotąd nie wprowadzono pod tym względem rodzaju abonamentu, tak, iżby każdy mógł wówczas małym kosztem pielęgnować tak niezbędne organa, jak np. pielęgnuje włosy o wiele mniej potrzebne dla zdrowia. Mówimy to pod adresem panów dentystów, którzy za plombowanie zębów u siebie w mieszkaniu każą sobie bardzo drogo płać.

J. S.

NOWE KSIĄŻKI.

Prus Bolesław, (Aleksander Głowacki). Placówka, powieść. Wydanie drugie, rs. 1 kop. 50.

Przyborowski Walery. Marznące fale, powieść, Lwów, kop. 90.

Rogosiński S. S. Wyprawa... żegluga wzdłuż brzegów Zachodniej Afryki, na luguze „Lucya-Małgorzata”, Warszawa, 1887, rs. 1 kop. 50.

Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału matematyczno-przyrodniczego Akademii Umiejętności, tom XV (z 9-ma tablicami), Kraków, 1887, rs. 5

Ryx Jerzy. Fermentacja, jej przyczyny i zjawiska, z wyszczególnieniem fermentacji alkoholowej, Kraków, rs. 1.

Shelley P. R. Prometheus rozpętany, dramat liryczny w 4 aktach. Przełożył z oryginału angielskiego Feliks Jezierski; kop. 50.

Strzelecki Henryk. O rozpoznaniu drewna drzew leśnych krajowych. Poradnik dla leśników i wogóle dla osób trudniących się wyrabianiem, kupnem lub sprzedażą drzewa, Lwów, kop. 80.

Szwajcer A., Jankiel Filut, opowiadanie żydowskiego żaka (buchdra) Łódź, kop. 60.

Theuriet A. Sprawa Froideville, romans. k. 60.

Verne J. Promień zielony i 10 godzin polowania, przekład St. Miłkowskiego, Gródek, rs. 1 kop. 20.

Zacharyasiewicz Jan. Święty Jur, powieść współczesna, 3 tomy, wydanie nowe, Warszawa, 1887, rs. 2 kop. 40.

Zaleski Antoni. Z wycieczki na Wschód. Notatki dziennikarza. Bukareszt. Ruszczuk. Warna. Konstantynopol. Warszawa, 1887, rs. 1 kop. 80.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 12-ty powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabusson.

TREŚĆ: Zjazd Towarzystwa Pedagogicznego w Stanisławowie. — Piosnki górskie, poezya, przez Szczęsną. — Julia Petöfi. — Filistry, powieść (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicza. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów. — Podróże, Listy Antoniny Herf z Indyi Wschodnich, (dalszy ciąg). — Wiadomości z higieny, (dokończenie), przez J. S.

Dodatek obejmujący: Arkusz 12-ty powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabussona. — 19 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Дозволено Цензурою. — Варшава, 12 Августа 1887 года.

DODATEK DO BLUSZCZU.

Nr 34.

Wzory ubiorów i robót

z najlepszego pisma paryzkiego

MODE ILLUSTRÉE (Bazar)

jednocześnie i li tylko w Bluszczu ze wszystkich pism polskich są podawane.

Suknia z gładkiego i w kratę materiału.

Rycina Nr 1.

Spódnice 210 centim. obwodu w dole mającą, uzupełnia wolant plisowany, 480 centim. szeroki, z popielatego gładkiego materiału, tiunika z materiału w paski popielate i brązowe, na przodzie w sute fałdy zebrana, z boków wysoko podpięta, przyozdobiona jest szarfą z brązowej wstążki z pikotami. Fałdzisty krótki stanik, obszyty jest u dołu plisowaną falbaną, we dwoje złożoną i przepasany paskiem z brązowej wstążki. Napierśnik z żółtawej koronki i także mankiety, stanowią przybranie stanczka.

Ubranko żałobne dla wdów.

Rycina Nr 6. Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 24.

Ukroiwszy podług formy trójkącik z angielskiej krepy we dwoje złożonej, należy części założyć do środka, wpuszczając w szew tasimieczkę drucianą (agremman), poczem przybrać przedni brzeg stanowiący zab na czole, trzema ukośnemi pliskami z krepy; na kokardkę potrzeba obrębić szarfkę krepową, jeden metr długą, a 18 centim. szeroką, nieco ku brzegom ściętą. Ułożywszy podług wzoru dużą kokardę, należy takową na podstawce przymocować podług wskazania ryciny.

Czepeczek żałobny dla starszych pań.

Rycina Nr 7. Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 62.

Ukroiwszy z czarnej petynety podstawkę podług fig. 62, należy obszyć takową agramanem, objąć jedwabną wstążeczką lub ukosem materyi i obszyć z przodu falbanką z grenadiny we dwoje złożonej, 2 i pół centim. szeroką. Na denko w formie siatki należy ukroić z grenadiny okrągłą część, 33 cent. wysoką, a 31 cent. szeroką, ułożyć takową w fałdeczki, połączyć z podstawką, z tyłu zaś założyć i obrębek przewlec elastyką 15 cent. długą, poczem przybrać cze-

peczek podług ryciny kokardkami i szarfkami z grenadiny.

Czepeczek z czarnej koronki dla starszych pań, lub do żałoby.

Rycina Nr 8.

Ukroiwszy podstawkę z czarnej petynety, podług fig. 62 dzisiejszej tablicy, należy ściąć brzegi takowej, skracając formę o 3 centymetry z każdej strony, brzegi obszyć drucikiem, objąć wstążeczką i obszyć uplisowaną koronką „chantilly”,

7 i pół centimetra szeroką. Z tej samej koronki należy upiąć resztę czepeczka, na denko zaś ukroić z koronkowego tiulu część 55 centimetrów długą, a 25 centimetrów szeroką, w środku spięzając, obszyć takową koronką nieco zmarszczoną, ułożyć podług ryciny i przybrać kokardkami z czarnej répsowej wstążki, 5 centimetrów szerokiej. Dwa końce wstążki 27 centimetrów długie, w połowie długości związane w kokardy, spadać powinny na włosy.

Czepeczek żałobny dla starszych pań.

Rycina Nr 9. Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 63.

Ukroiwszy foremkę z petynety, podług fig. 63, należy obszyć takową drucikiem, objąć krepą, przyozdobić z przodu pliseczkami ukośnemi z krepy, upiąć krepową trójkątną chusteczkę i zamocować ją na podstawce, podług wskazania ryciny.

Kapelusz żałobny z angielskiej krepy.

Rycina Nr 13.

Małeńkie rondko z petynety w środku 5 centimetrów, z boków 2 i pół centimetrów szerokie, należy obciągnąć krepą, obszyć falbanką krepową we dwoje złożoną, częścią w kontrafałdki, częścią w pliski ułożoną, poczem upiąć na główce krepowy welon, 150 centimetrów długi, a 78 centimetrów szeroki, obrębką na trzy palce zakończony i przybrać kapelusz kokardką z pukli krepowych, 6 i pół centimetrów szerokich podług ryciny.

Kapelusz żałobny dla młodych panien.

Rycina Nr 14

Petynetową foremkę tego kapelusza, z odstającym na przodzie rondkiem i główką, 12 centimetrów wysoką z przodu, a 8½ centimetrów z tyłu, należy najpierw gładko obciągnąć czarną podwójną grenadiną poczem rondko podszyc falbanką irulonikiem z grenadiny, na wierzchu zaś ubrać podług ryciny dużym węzłem z uplisowanej grenadiny. Welon grenadi-



Nr 1. Suknia z gładkiego i w pasy materiału.

Nr 2. Suknia z gładkiego i w kraty materiału. Przód. (Do ryc. 4). Opis odwr. str. tabl.

nowy 92 centymetrów długi, a 60 centymetrów szeroki, należy zebrać w fałdy 13 centymetrów szerokie i przymocować do kape-lusza od spodu.

Kapelusz żałobny z grenadyny.

Rycina Nr 15

Kapelusz z wyso-kim odwiniętem ron-dkiem, z przodu spi-czasto zakończonem, grenadyną obciągnię-tym, dużą kokardą z grenadinowych pu-kielków przyozdobio-ny. Welon szeroko zaobrubiony u dołu, 94 centymetrów długi, a 61 centymetrów szeroko-



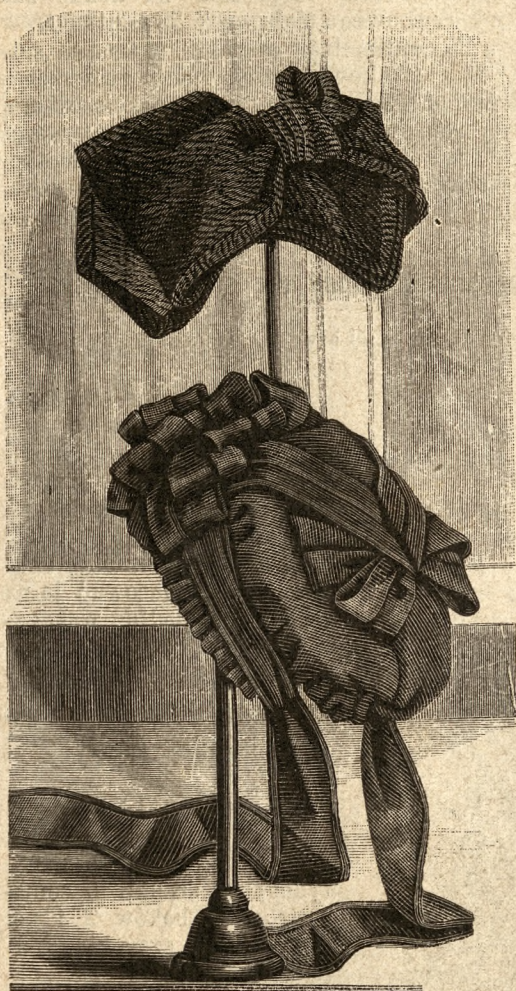
Nr 3. Suknia żałobna z kaszmi-ru. Plecy. (Do ryc. 17).



Nr 4 Suknia z gładkiego w war-tę materyału. Plecy. (Do ryc. 2)

produkcyi bulionu, podajemy pra-ktyczny, a pewny sposób przy-gotowania takowego.

Wziąć trzy ćwierci funta mięsa wołowego, kur 15, zajęcy 3, ka-czek 6, cielę całe je-dno. Mięso pokrajać w kawałki, kości po-przetrać, to samo porobić z drobiem, zwierzyną i cielęcim; włożyć to wszystko w kocioł dobrze po-bielany i nalawszy wodą, gotować, zrzu-cając często szumowi-ny. Jak się mięso pod-gotuje, trzeba odsta-wić, lub zupełnie ogień wygasić pod kotłem, zlać z wierzchu czy-



Nr 6. Kwew z kokardą z angielskiej krepy.

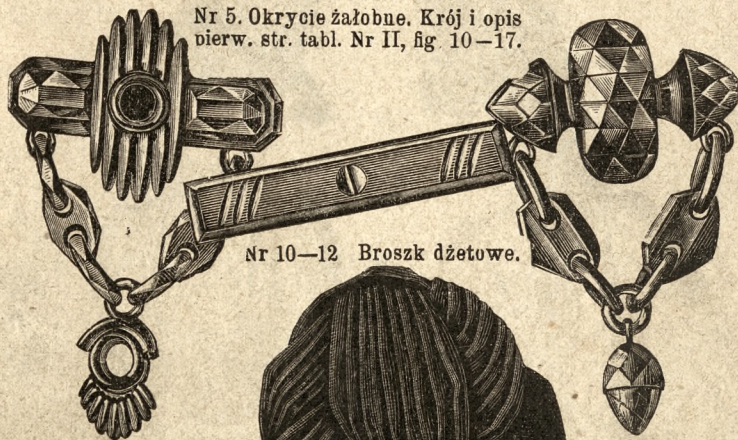
Krój odwr. str. tabl. Nr IV, fig. 23.

Nr 7. Czepeczek żałobny dla starszych pań. Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 62

ki, zebrany jest w fałdy i przszyty do dolnego brzegu kape-lusza, wiążą-cego się z przodu na grenadinowe brydy podług ryciny.

Bulion su- chy.

W obec co-raz więcej u-powszechnia-jącej się u na-szych gospo-dyń wiejskich



Nr 10—12 Broszk diamentowe.



Nr 8. Czepeczek żałobny dla star. pań.

Nr 9. Czepeczek żałobny dla star-szych pań. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 63.



Nr 13. Kapelusz żałobny z angielskiej krepy.

Nr 14. Kapelusz żałobny dla młodych osób.

Nr 15. Kapelusz żałobny z grenadyny.

sty bulion w naczynie czyste, a mię-so wypłukać w czystej zimnej wodzie z mętów, któ-re na niem osiada, kocioł wypłukać z mętów na nim osiadłych potem włożyć wypłukane mięso w kocioł, nalać zla-nym bulio-nem, a do peł-ności dolać smakiem wy-gotowanym z włoszczy-zny, to jest: wziąć sele-trów, pietrusz-ki i marchwi po 2 garnce

oskrobawszy pokrajać w sporę kawałki, nalać wodą i gotować, byle się włoszczyzna nie rozgotowała, przecedzić i tym smakiem dolać kocioł, soli nic nie sypać i gotować póty, aż mięso rozgotuje się na miazgę, nie będzie miało żadnego smaku i od kości zupełnie odchodzić będzie. Wtedy zlewać bulion, cedząc go przez czyste płótno, w wanienkę drewnianą, mięso pozostałe w kotle przelać trochę wody zimnej, a wycisnąwszy rękami przecedzić do ogólnego bulionu, bulion powinien być rozlany płasko, a naczynia czyste zupełnie, tak niech stoi noc całą w chłodnym miejscu, na drugi dzień zaskrzepłą tłustość zebrać jak najstaranniej, potem zlać w rondle duże pobielane i dogotowywać na wolnym bardzo ogniu, mieszając czasem, aby się nie przypalił, dlatego trzeba parę razy do coraz mniejszego rondla przelewać, gotować dopóty, dopóki probując troszkę, zupełnie zastygać i twardnieć będzie.

Jak już jest gotowy bulion, zlewać go w głębokie talerze zwilżone wodą, wynieść na zimno do zastęgnięcia, a nazajutrz powyjmować i na powywracanych talerzach pokłaść krążki, postawić na szafach w pokoju i tak wstawić na dwa tygodnie, z wierzchu ponakrywać płótnem lub papierem, potem zachować w paku drewnianą lub słoję duże, przekładać papierami i trzymać w suchej chłodnej spiżarni.

Z 20 funtów mięsa, otrzymuje się jeden funt bulionu. Tłuszcz zebrany, przetopiony i przecedzony, zlać do garnka, doskonale zastępuje on masło do smarowania pieczystego.

L. C.

Ułatwianie roboty sukien, okryć, bieliz- ny i t. p.

Wzory kroju, na tablicy podawane, dla łatwiejszego odróżnienia jednych od drugich i aby je bez wielkiego mozółu wynaleźć można, oznaczone są każdy odmiennymi konturami.

Wszystkie wzory tych krojów, tak na pierwszej jak i na odwrotnej stronie tablicy, oznaczone są figurami i wedle porządku ponumerowane. Wszystkie wzory kroju, będące częściami formy jednego przedmiotu, objęte są jedną rubryką umieszczoną pod właściwą liczbą rzymską, która je na spisie krojów oznacza. W wykazie tym podany jest opis form umieszczonych na tablicy. W wykazie wzorów kroju znajduje się numer i oznaczenie figur kroju, przez co wyszukanie tych figur staje się łatwym. Podawane przez nas formy są zwykle umierzone

dla osób średniego wzrostu i miernych kształtów, należy zatem podług potrzeby zmniejszać je lub powiększać.

Wzory z tablicy zdejmować można w rozmaity sposób. Najłatwiej jest położyć na tablicę stosownej wielkości przezroczysty materiał, np. muslin. (tylko nie miękki i nie pomięty) i przebijając przez niego kontury oznaczyć ołówkiem na materiale, wraz ze wszystkimi liczbami, znakami i liniami (praktycznie jest wyrysowane części sfastrygować i na figurze upasować). Jeżeli się formę robi z przezroczystego papieru, na przykład z angielskiej bibułki, postępuje się jak wyżej. Jeżeli zaś z grubego nieprzezroczystego papieru, to kontury oznaczyć radelkiem, które nabyć można w sklepie p. Krz. Bruna na rogu Placu teatralnego i ulicy Biełańskiej za kop. 50. Radelko używa się w następujący sposób:

Papier przeznaczony na wykrojenie formy położyć pod tablicę, przymocować dobrze jedno do drugiego, aby się osobno nie przesunęło i przeciągnąć radelkiem kontur danej figury. Liczby, znaki i t. p. naznaczyć najpierw nakłuciem, a następnie po odjęciu tablicy z papieru osobno odznaczyć ołówkiem, jest to przecież postępowanie mozolne. Kroje większe od tablicy naznaczają się wedle potrzeby, jednym lub kilkoma „założeniami“, to jest: że wystające rogi po za tablicę zakładają się i podług tego założenia powstające załamanie formy, oznacza się na wzorze kroju linią, złożoną z małych przerwanych kresczek (---). Przy przekrawaniu figury, która ma takie założenia, najlepiej założenia

te osobno na papier lub muslin przenieść, i dopiero następnie wzdłuż linii, załamanie oznaczających, z resztą formy połączyć i dopiero z takiej całej już formy w całości krajać.

Bardzo wielkie kroje są zwykle rozdzielone, to jest oznaczone w dwóch częściach na tablicy i trzeba je wzdłuż napisem oznaczonej „przecięciowej linii“ i podług liter, w jedną całość złożyć tak, aby miejsce oznaczone jednej części, trafiło na miejsce drugiej, tak samo oznaczonej części. W ten sposób przecinane (w dwóch częściach podawane) figury i formy z kilkoma założeniami, bywają na tablicy oznaczone w zmniejszeniu do 15 części w ten sposób, w jaki się powinno dane figury wzdłuż przecięciowej linii zestawiać i założenia odkładać, dla dokładniejszego zrozumienia formy. Czasami jednak przy dużych krojach, proste lub ukośne brzegi, nie są poznaczone w całej długości, ale w miejscu, gdzie się kontur kończy, strzałka oznacza kierunek przedłużenia linii, długość jest wtedy zwykle oznaczona w opisie.

Proste kroje podajemy w zmniejszeniu, oznaczając jednak liczbami szerokość i długość. Takie formy należy przed ukrojeniem wedle potrzeby powiększyć.

Wszystkie formy są podane bez dodatków na szwy, należy więc przy krajaniu dodawać materiał na zaszycie. Formy podane w połowie oznaczone są w miejscu, gdzie też forma się na połowę składa, małymi przerywanymi kresczkami (---). Przy krajaniu takiej części, należy materiał wziąć podwójnie, składając go tak, aby załamanie w prostym kierunku nitki trafiło na linię oznaczającą złożenie i wówczas krajać

w całości. Czasem bywa, iż trzeba, aby nitka materiału szła ukośnie wzdłuż linii oznaczającej środek, wówczas zaznaczone to jest w opisie. Rękawy zwykle składają się z dwóch części: wierzchniej i spodniej która to część (spodnia) bywa inaczej od górnej podcięta, otóż to podcięcie bywa u nas zawsze na formie wierzchniej części stosownym konturem oznaczone z napisem. Nakoniec zwracamy uwagę, iż w tych formach gdzie krój jest wątpliwy, czy ma się krajać z materiału prosto lub ukośnie wziętego, jak na przykład: przy krajaniu gorsetów, kierunek nitki oznaczamy liniami i napisem.

Łączenie pojedynczych figur odbywa się podług liczb w ten sposób, aby liczba umieszczona na brzegu jednej figury, trafiła na taką samą liczbę drugiej figury.

Cel rozmaitych znaków, liczb, kropek, krzyżyków i linii, podawanym bywa zawsze w opisie. Jeżeli na jakiej figurze znaki te nie są



Nr 16. Suknia żałobna.
Krój i opis odw. str. tabl. Nr VI, fig. 34—45.

Nr 17. Suknia żałobna z kaszmiru. Przód. (Do ryc. 3).
Krój i opis pierw. str. tabl. Nr V, fig. 24—33.

umieszczone na konturze, wówczas są one z nim związane cienką gładką linią, która w dalszym krajanu nie ma żadnego zastoso-

Przepisy gospodarskie.

Pyza bardzo łatwa.

Kwarta mąki, 1/2 drożdży, mleka kwaterkę, masła łyżkę, jaj całych cztery, cukru łyżkę czubatą. Mleko letnie zmieszać z drożdżami i rozczynić w środku kupki mąki, jak się dobrze ruszy, wbić jaja, wlać masło letnie, wsypać cukier, dodać cytrynowej skórki, wyrobić bardzo dobrze z resztą mąki, aż od łyżki odstawać będzie, wlać to ciasto w rondel wysmarowany masłem — jak wyrośnie, wstawić w piec, próbować słomką czy

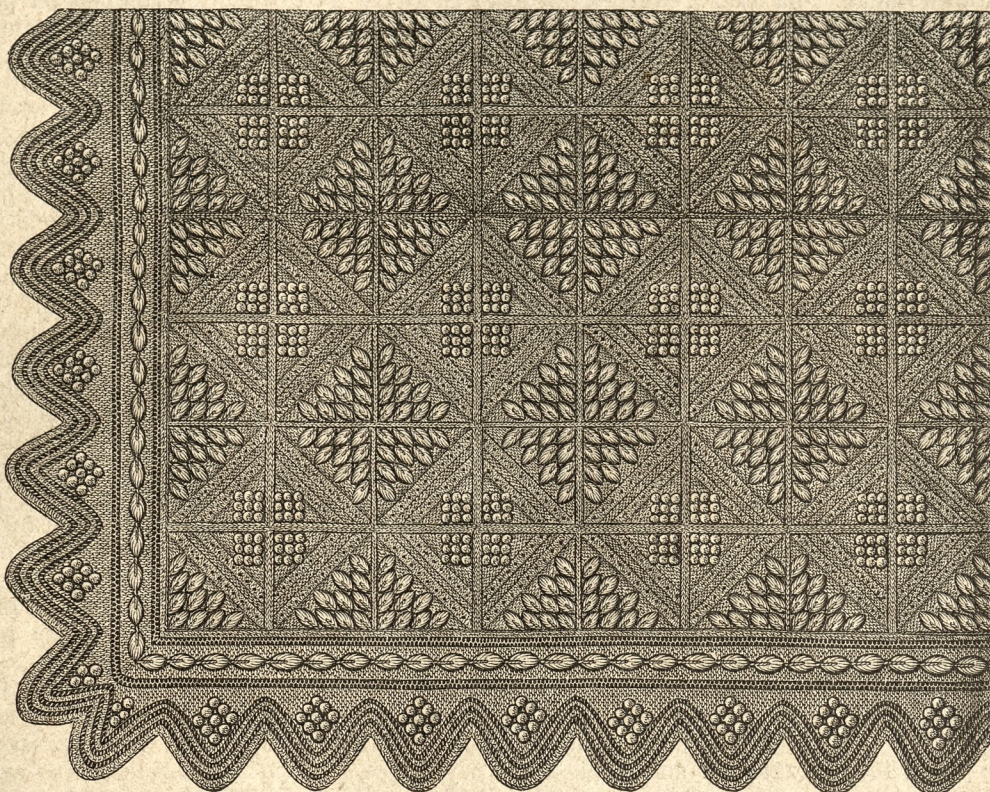
upieczone — w trzy kwadransy upiec się powinna. Wyłożyć na półmisek i dać do niej śmietanę bitą z cukrem, lub sos szodony. Proporcya ta jest na 8 osób.
L. C.

Obiad na Niedzielę.

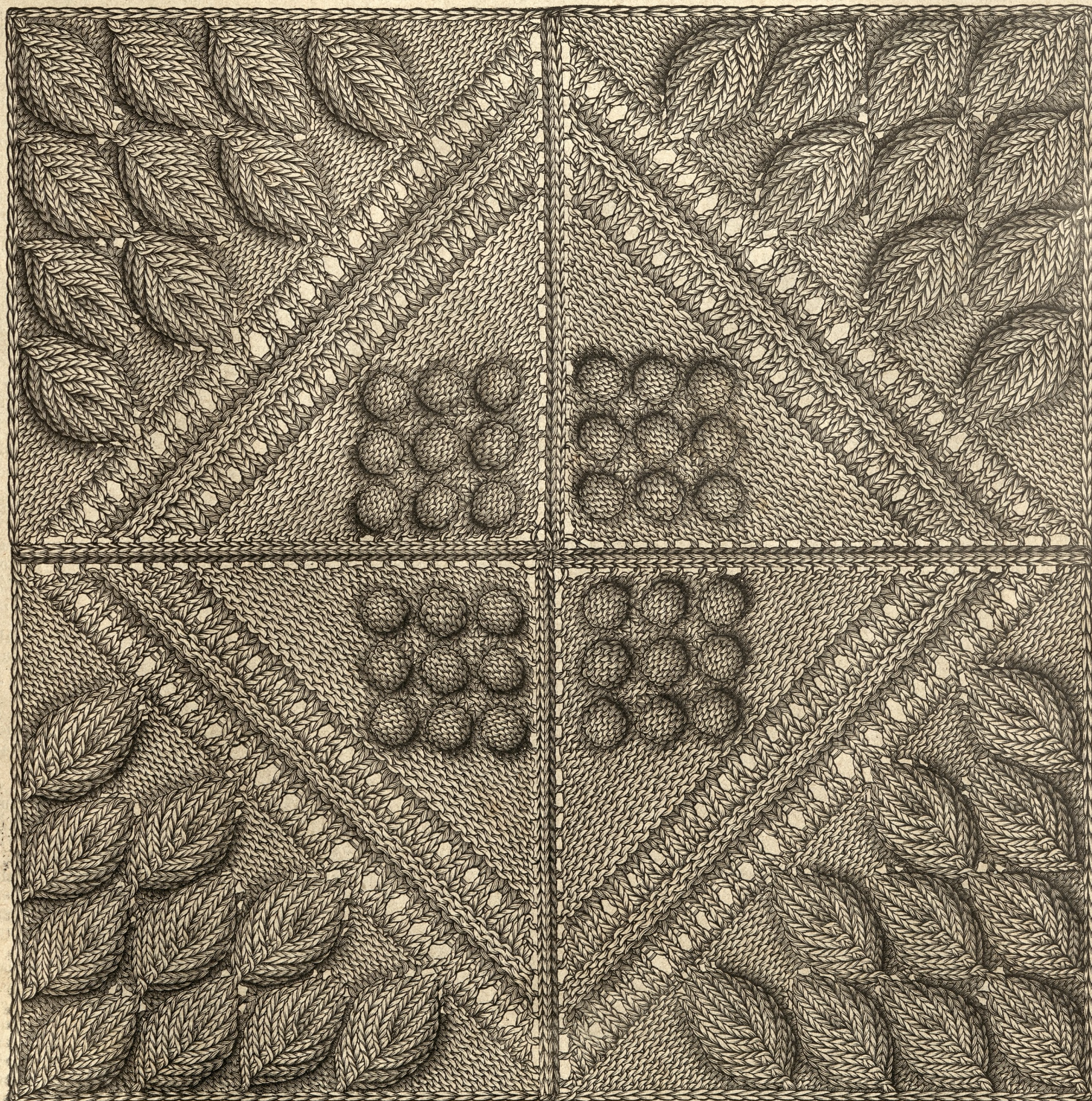
1. Zupa rakowa.
2. Sztukamieśa na parze z sosem szczawiowym.
3. Marchewka z groszkiem.
4. Kaczki pieczone.
5. Owoce.

U W A G A.

Tablica krojów dołączoną była do N-ru 33 Bluszcza.



Nr 18. Kapa na łożko drutową robotą. (Do ryc. 19, oraz ryc. 1 w Blu. Nr 33).



Nr 19. Kwadrat do ryc. 3 robotą drutową. Wielkość naturalna.